

SPOTKANIA ŚWIRZAN

Nr 3 (162)

LUBIN

2023 r.



**Wejście do pieczary znajdującej się w sąsiedztwie
świrskiego zamku. Przed 1939 r. przechowywano
w niej lód. Zdjęcie znalezione w internecie.**

Szanowni Krajanie,



lutym minęła 80. rocznica wielkiej zbrodni na Polakach dokonana przez sotnię Ukraińskiej Powstańczej Armii w kolonii Parosle na Wołyniu. Była to pierwsza na tak wielką skalę masakra, której dopuścili się ukraińscy nacjonalisci. Zbrodnia uznawana jest za początek zbrodni wołyńskiej.

9 lutego 1943 r. do Parosła, zamożnej kolonii polskiej, zamieszkałej przez 26 rodzin, weszła sotnia UPA pod dowództwem Perehijnia, przedstawiając się jako oddział radziecki (na czapkach mieli czerwone gwiazdki). Do każdego domostwa polskiego przybyło po 3-4 Ukraińców. Po wymuszonym posiłku i znacznym spożyciu samogonu, bandyci oświadczyli, że Polacy powinni pozwolić się związać, co rzekomo mieli zrobić partyzanci radzieccy, aby nie spotkała ich represja ze strony Niemców za karmienie partyzantów. Przyjście Niemców miało się wiązać z planowanym przez oddział wysadzeniem pociągu wojskowego. (Parosła leżała w sąsiedztwie torów kolejowych.)

Polacy dali się przekonać obtudnym wyjaśnieniom i, po związaniu rąk, położyli się twarzą do ziemi. Wtenczas na rozkaz dowódcy ukraińscy bandyci w domach rozpoczęli siekierami makabryczny mord. Życie straciło około 170 osób, od niemowląt do starców. Przeżyło kilkanaście niedobitych osób, przeważnie dzieci, które do końca życia było kałkami.

Polacy pamiętają ten mord - rząd też. 9 lutego 2023 r. szefowie Ministerstwa Obrony Narodowej, Mariusz Błaszczak, oraz Instytutu Pamięci Narodowej, Karol Nawrocki, złożyli kwiaty przed pomnikiem upamiętniającym ofiary Zbrodni Wołyńskiej w Warszawie.

Lubin, kwiecień 2023 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 162

Str.

3. L. Cyganik. Słodkie i kwaśne odcienia życia (V).
19. J. Tarnawski. Tęsknota.
20. Świrz w józefińskim katastrze (III).
25. J. Wyspiański. Grypsy z przemysłańskiego aresztu (II).
28. Wydarzenia z pow. Przemysłańskie podane w *Kurierze Lwowskim* (I).
34. J. Hartman. Polsko-żydowskie ABC (I).
38. Kilka słów o nowych książkach.
40. 79. rocznica rzezi wołyńskiej - wywiad A. Dąbrowskiej.
43. Pokłosie naszych publikacji (Redakcja, J. Rozwadowski)

Kartka z pamiętnika

Red. Poniższy tekst jest fragmentem książki Leopolda Cyganika o tym samym tytule, która ukazała się w 2020 r. Niektóre fragmenty, ze względu na drastyczną treść zostały przez redakcję usunięte.

Leopold Cyganik

Słodkie i kwaśne odcienie życia (cz. V)

Praca laboranta

Pewnego dnia wujek spotkał mnie. Opowiadałem mu o swojej pracy. On wówczas zatrudniony był w charakterze starszego asystenta profesora Franciszka Wandokantego na wydziale weterynarii Wyższej Szkoły Rolniczej.

- Szykuj się do pracy u nas - powiedział do mnie w pewnym momencie.

- A niby co ja miałbym u was robić? - zdziwiłem się.

- Zatrudnimy cię jako wysoko wykwalifikowanego laboranta - odparł wujek Józef.

- Mnie? - roześmiałem się. - Jako wykwalifikowanego laboranta? Przecież ja nie mam pojęcia o takiej pracy!

- Nauczysz się. To nic trudnego - zapewnił.

- Nie jestem pewien - nie wiedziałem, czy wujek mówi serio, czy tylko żartuje.

- Myślę, że pójdziesz na to, jeśli ci powiem, że będziesz zarabiał nie sześćset, a ponad 1 200 złotych - powiedział poważnie. Ośłupiałem. Argument rzeczywiście był mocny.

I faktycznie, niedługo później zostałem zatrudniony jako wysoko kwalifikowany laborant w Zakładzie Chemii Fizjologicznej Wyższej Szkoły Rolniczej. Cały zakład składał się z dwóch pokoi, z czego jeden był przejściowy. W budynku głównym przy ulicy Norwida, wchodziło się do niego bezpośrednio z klatki schodowej. Pierwsze pomieszczenie zajmował mój wujek, który w międzyczasie zrobił doktorat z weterynarii i miał już tytuł adiunkta. W drugim na środku stało biurko profesora Wandokantego, wokół którego znajdowało się mnóstwo odczynników, koszy-

ków, probówek i flaszek. Było tego tak bardzo dużo, że profesor ledwo się między nimi przeciskał, by zasiąść za biurkiem. Pokój mojego wujka zresztą nie wyglądał lepiej...

Na całe szczęście na rogu placu Grunwaldzkiego i Norwida postawiono już nowy Zakład Chemii Fizjologicznej. Miało się ono znajdować w nowoczesnym budynku (postawionym na starszym, parterowym), posiadało własną salę wykładową, piękne gabinety i wspaniałe, pachnące nowością laboratoria. Moim zadaniem jako wysoko kwalifikowanego specjalisty, laboranta, było (zresztą w asyście adiunkta Utziga), wyniesienie na własnych plecach zawartości dwupokojowego Zakładu Chemii Fizjologicznej do nowej placówki. I tak maszerowaliśmy z całym dobytkiem z pierwszego piętra jednego budynku, na trzecie innego. A poza tym oczywiście doposażenie, czyli zamawianie nowoczesnego szkła czy najnowszych odczynników. Kiedy rozpoczął się nowy rok akademicki, byliśmy gotowi do rozpoczęcia zajęć.

Przez nowoczesne laboratorium wchodziło się do niewielkiego, ale ładnego i wygodnego gabinetu profesora Wandokantego. Świeży zakład wymagał zatrudnienia pracowników, dla których w końcu było miejsce. Jako najciekawszych pamiętam świeżo upieczonych lekarzy, Tadeusza Garbulińskiego i Marian Pytarza, którzy otrzymali posady asystentów.

Nadal się uczyłem, zdobywając popularność jako przewodniczący rady szkolnej. W pracy zaś moim głównym zadaniem stało się przygotowywanie zestawu ćwiczeń dla studentów, tak aby mieli na stołach wszystkie potrzebne do zajęć odczynniki i narzędzia. Niedługo później robiłem też proste doświadczenia. Znow wujek bardzo mi pomógł, szkoląc mnie w zakresie chemii. Mimo to dwa razy omal nie wysadziłem w powietrze (prawie) całego zakładu.

W laboratorium znajdowało się wiele różnych substancji. Normalne. Jedną z nich był destylowany ksylen. Aby go wydestylować pod kolbą, pod azbestową siatką należało zapalić gaz. Nie wiem, jak to się stało, ale podgrzany ksylen wybuchł. Kiedy to nastąpiło całe pomieszczenie wypełniła czarna sadza. Żeby tłusty brud nie osiadł na sprzętach laboratoryjnych, otworzyłem wszystkie okna, te z dołu, aby jak najszybciej dym wyleciał z pomieszczenia. Wydobywające się z trzeciego piętra czarne kłęby zwróciły uwagę przechodniów. Aby nie wezwali straży (i bym ja nie miał problemów), wychyliłem się przez okno i patrzyłem na gapiów. Kie-

dy zobaczyli, że laborant jak gdyby nigdy nie stoi sobie w oknie, nie przejmując się dymem, odpuścili i odeszli. Kiedy po dziesięciu minutach sala się wywietrzyła, czekało mnie kolejne zadanie: przywrócenia laboratorium do stanu używalności (także odpowiedniego poziomu wizualnego). Jakoś się z tym uporałem i nikt nie dowiedział się o wybuchu.

Innym razem, miałem przygotować sól do ćwiczeń w postaci stałej, bardzo miękkiej, łatwej do krojenia. Dzięki temu, że przechowywany jest w nafcie, nie płonie. Czasem zdarza się, że po wyjęciu z nafty ten pierwiastek ulega zapaleniu. Ale z pewnością, kiedy w głupi sposób przenosi się ów sól nad zlewem kamionkowym, pełnym probówek i wody, a kostka pierwiastka wyslizguje się z pęsety i wpada w to wszystko, po prostu wybuchu... Tak właśnie zrobiłem ja, fundując sobie niechybnie rychłą śmierć w wyniku wybuchu bomby odłamkowej, gdyby nie mój refleks i solidna, kamionkowa konstrukcja zlewozmywaka. W momencie gdy zobaczyłem, niczym w zwolnionym tempie, jak kostka sodu wypada mi z pęsety wprost do dziesiątek probówek, zalanych wodą, zrobiłem unik i schowałem się poniżej poziomu zlewu. Potem pamiętam huk. Kiedy się otrząsnąłem, zobaczyłem, jak w drewniane stelaże laboratoryjne wbiło się szkło. I naprawdę nie było centymetra kwadratowego bez odłamków... Naturalnie zaraz po wybuchu wpadła sprzątaczką, największa plotkara w zakładzie. Szybko ją przepędziłem i być może dlatego nikt się nie dowiedział o tym incydencie.

Mimo to uwielbiałem swoją pracę. W niej także osiągałem uznanie i sukcesy. Kiedyś przywieziono do nas nowoczesną aparaturę Vans Leica do oznaczania związków przy różnych procesach. Niestety przysłano nam ją bez instrukcji złożenia. Nie wtrącałem się. Ale kiedy żaden z pracowników nie był w stanie sklecić aparatu, czekałem aż wszyscy pójdą do domu. Wtedy przysiadłem nad nią, i metodą prób i błędów, poskładałem ją w całość. Rano postawiłem ją na stole na środku laboratorium i czekałem. Przyszedł profesor. Być może chciał jako pierwszy spróbować raz jeszcze pomajstrować przy aparaturze. Ale ujrzał ją złożoną. Obejrzał z każdej strony.

- Kto to złożył? - zapytał mnie, stojącego w rogu pokoju. Nie odezwałem się.

- Ale ty jesteś zdolny - powiedział z uznaniem. Pewnie dlatego też tak ciekawe opinie wystawił mi później. Mam je do dziś.

Miałem też jeszcze jedno zadanie, może nie do końca wchodzące

w zakres obowiązków laboranta, ale za to idące w parze z wzbierającą we mnie empatią. Mój przełożony, profesor Franciszek Wandokanty, bardzo mnie polubił. Zapewne dlatego, że nigdy nie nadużywałem stosunków „pozasłużbowych”. Zdarzało się, że przychodził do pracy i wzywał mnie od razu do swojego gabinetu. (...)

Opowiadał mi wtedy piękne historie z czasów wojny, ze Lwowa, w którym pracował jako weterynarz w rzeźni miejskiej. Często podobne poranki zajmowały po kilka godzin. Profesor „kradł” mój czas na pracę i naukę, ale mimo to chętnie go słuchałem. Wiedziałem, że musi się wygadać. (...)



Babcia Teresa Utzig, 1947 r.

Uczyłem się, mieszkaliśmy na Sienkiewicza i pracowałem na weterynarii. W pięćdziesiątym pierwszym roku pochowałem babcię na cmentarzu przy ulicy Bujwida. Po jej śmierci zająłem jej pokój. Mimo małego metrażu, żyliśmy trochę jakby oddzielnie. Obok i osobno. Pamiętam, że zimą bywało straszliwie zimno, choć grzailiśmy w mieszkaniu czym się dało. Zbliżała się moja matura. W międzyczasie jeden z moich kuzynów, Romek, syn wujka Karola Jagoszewskiego (tego od cioci Juli i kuzynki Irenki), dostał się na medycynę, ale szybko zmienił studia i kształcił się na felczera. Cała rodzina zastanawiała się pokątnie, co stanie się, jeśli zdam egzamin dojrzałości. Czy będę chciał kontynuować naukę

czy raczej niekoniecznie.

W pięćdziesiątym trzecim roku umarł Józef Stalin. Pamiętam związaną z tym zabawną historię. Jeden z moich nieco mniej rozgarniętych kolegów z klasy został wywołany „na odpytki”. Ale nie umiał dosłownie nic. Po kolejnym pytaniu, które pozostawało bez dopowiedzi, mój kolega błysnął intelektem.

- Dlaczego się pan nie nauczył? - zapytał profesor.

- Bo, panie profesorze... Ja jestem tak strasznie rozbity po śmierci towarzysza Stalina, że nie miałem głowy do nauki... - opowiedział kolega. A nauczyciel nie mógł mu nawet postawić jedynki za nieprzygotowanie. W ciszy pozwolił mu odejść na miejsce.

Nadeszła wiosna, a z nią egzaminy. Aby dobrze je zdać, co także było jednym z warunków dostania się na uczelnię, należało po prostu się uczyć. Ale w klasie maturalnej dokładnie wiedziałem już, co należy robić w życiu. Wraz z kolegą Lewandowskim douczaliśmy się i jednocześnie trochę konkurowaliśmy ze sobą, dzięki czemu mieliśmy coraz lepsze osiągi i większą wiedzę. Jednak sama nauka to nie wszystko. Aby zaliczyć liceum należało mieć udokumentowaną działalność społeczną. Jako przewodniczący rady szkolnej, odpowiedzialny za działalność społeczną, miałem na koncie spory dorobek w tym zakresie. Dla naszego roku przewidziano trzy dyplomy, którymi nagradzano „Przodownika nauki i prac społecznych”, czyli osobę szczególnie zasłużoną dla życia szkolnego. Dwa z nich zostały przydzielone mnie i Józiovi Lewandowskiemu. Ale nie były to tylko błahe papierki. Miały one wielką wartość. Na każdą uczelnię (poza akademią medyczną, niestety) z takim dokumentem wchodziło się bez egzaminów wstępnych. Ale nawet na Akademii Medycznej miały one duże znaczenie.

Samych egzaminów też się nie bałem. Moja praca u profesora Wandokatego zapewniła mi wiedzę i przygotowanie. Niestety na uczelnię przyjmowano także osoby po tak zwanym kursie zerowym, czyli bez matury. Byli to ludzie, którzy ukończyli ledwo sześć, może siedem klas. Prosto z PGR typowano takiego delikwenta, dawano mu możliwość zrobienia szybkiego kursu i wysyłano na studia, na przykład medyczne. Metoda ta stanowiła „dobre, patriotyczne ziarno”, zasiane wśród młodzieży niezwiązanej z ustrojem, które miało kiełkować na przyszłych lekarzy, hołdujących władzy. Było to przerażające. Lekarze bez wiedzy, od których zależy ludzkie życie... Jedyne czego się bałem, gdy zdawałem na uczelnię, to fakt, że władze mogą odkryć moją przeszłość. Gdyby na jaw wyszła moja odsiadka, nie zdałbym na żadną uczelnię w Polsce.

Studia medyczne

W końcu jednak przeszedłem przez egzamin maturalny. Wszyscy byli zdumieni. Jakim cudem? Bez zachęty, douczania, popędzania, tak sam z siebie... Wujek Karol zaczął się bardzo interesować moją dalszą

edukacją. Nie wiem jakim cudem informacje na mój temat tak dobrze się roznosiły, bo kiedy w moim życiu coś się działo, na przykład miałem ważny egzamin, zakładałem taki wytarty garnitur i wychodziłem z domu. A moja rodzinka tylko po tym orientowała się, że w ogóle jeszcze studiuję i może nawet nieźle mi idzie. Ale wujek zaczął się dziwnie często u nas pojawiać i dopytywać, co robię. (...) Ale ja nie przejmowałem się rodziną. Mój problem leżał tylko w tym, że nie posiadałem legitymacji ZMP (Związku Młodzieży Polskiej). A była ona wymogiem przy egzaminach wstępnych na studia. W jej zdobyciu, jeszcze przed maturą, pomógł mi kolega z liceum, Ryszard Pozdrzał ze Lwowa.

Zwierzylem mu się pewnego dnia z braku dokumentu. Powiedziałem, że muszę się jakoś dostać do związku. Wiedziałem, że na legitymację trzeba było zasłużyć, a jej otrzymanie nie było wcale takie łatwe.

- Nie masz legitymacji? - zapytał. - Daj mi tydzień. I przygotuj pół litra.

Po tygodniu przyniósł mi podniszczoną, starą legitymację z wywabionym nazwiskiem i datą urodzenia, ale ze stażem sięgającym początków organizacji. Wpisaliśmy do niej moje dane i jeszcze trochę ją poszarpaliliśmy.

- A teraz idź z tym do związku i poproś o wymianę na nowy dokument - powiedział.

- Nie zorientują się? - upewniłem się.

- Spokojnie.

Zgodnie z tym co mi polecił, udałem się do siedziby ZMP i pokażałem dokument z prośbą o wymianę. Postawiono mnie na zebraniu zarządu (egzekutywie). Przed wręczeniem nowego papieru okrzyczano mnie, bo legitymacja to przecież ważny dokument i należy go traktować z należnym mu szacunkiem. Jej stan powinien wyobrażać przynależność i oddanie organizacji, która go wydaje. Wysłuchałem co mieli do powiedzenia. Było warto. Wyszedłem stamtąd z nowiusienką legitymacją ZMP na moje nazwisko, dzięki której mogłem złożyć papiery na studia.

Dostałem się na medycynę, na przekór wszystkim i wszystkiemu, zdając tylko chemię (dzięki dyplomowi Przodownika nauki i pracy społecznej). (...).

Dostanie się na uczelnię wykluczyłoby moją dalszą pracę w laboratorium. Studia medyczne miały to do siebie, że na uczelni spędzało się

niemal cały dzień. Przed południem były wykłady. Potem szło się na zajęcia do prosektorium, które trwały, na przykład, około czterech godzin. Wchodziło się więc na uczelnię rano, a wychodziło gdy było już ciemno lub co najmniej szaro.

Na pierwszy rok studiów przyjęto nas w liczbie 575 osób. W związku z czym podzielono nas na tak zwane dwa rzuty. Miało to związek z niewystarczającą ilością miejsc w salach ćwiczeniowych czy wykładowych. W każdym rzucie podzielono nas dodatkowo na dziesięć grup, przez co trudno było ułożyć plan zajęć dla każdej z nich. A podczas sesji każda grupa walczyła o kolejność egzaminów, która okazała się niezwykle ważna.

Do początku pierwszego roku czuliśmy się tak, jakbyśmy powtarzali materiał z liceum. Pierwsze dwa semestry były wstępem do prawdziwych studiów, które zaczęły się z początkiem drugiego roku. Kilka godzin wykładów dziennie z chemii, biologii, czy fizyki nie miało uzasadnienia dla naszej edukacji. Ale po pierwszym roku wszystko się zmieniło (włącznie z ilością studentów, których nieco ubyło w międzyczasie). Teraz zdecydowanie najbardziej istotnym przedmiotem stała się anatomia prawidłowa, która była z nami od początku, lecz zdawało się ją po trzech semestrach. Innym przedmiotem była histologia. Ale ponieważ na studiach naprawdę się uczyłem, żaden przedmiot nie sprawiał mi problemów. Starczało mi jeszcze czasu na spotkania towarzyskie, zabawy i flirt z dziewczynami (ale tylko ładnymi).

Znów nie wiem jak to się stało, ale zostałem wybrany na starostę pierwszego rzutu na swoim roku. Nie mogłem już pracować, ale na Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego, na polecenie profesora Wandokantego, prowadziłem ćwiczenia z chemii. Udzielałem korepetycji z tego przedmiotu. Dostałem także stypendium, które wynosiło 251 zł i wystarczało na kilka bułek z margaryną lub marmoladą i pół litra mleka dziennie. Mało, szczególnie porównując je do mojej oszałamiającej pensji z weterynarii. Na całe szczęście uczelnia dysponowała stołówką (nazywaliśmy ją Pod Świnia, ponieważ obok znajdowała się cuchnąca i głośna hodo-wla świń), która znajdowała się przy ulicy Wojciecha z Brudzewa. Obiady podawano tam wstrętne, ale najważniejsze było to, że mieliśmy co jeść. Często urządzano tam zabawy, które były miłym akcentem integracyjnym.

Kiedy zaczynałem studia, wydział lekarski Akademii Medycznej

tworzyła przedwojenna kadra lwowska – personel lekarzy, wykładowców i osób z administracji. Naprawdę nieliczne grono lekarzy wykładających na naszej uczelni pochodziło z Krakowa. Ich przyjazd był uwarunkowany nieprzychylnością władzy ludowej. Na przykład wspomniany profesor Szczeklik w Krakowie nie zgodził się wstąpić do partii. Został więc „zesłany” na ziemie odzyskane i wykładał na naszym wydziale.

Już na początku zaistnienia owego wydziału zorganizowano tak zwaną straż akademicką, która pilnowała ponemieckich dóbr naukowych. A było czego i przed kim. Z głębi kraju do Wrocławia przyjeżdżały pociągi ludzi, którzy masowo wywoziły wszystko, co było do zabrania. Nazywano to szabrem. Wywożono cegły, szkła i odczynniki, pisma, wynalazki i wszystko co tylko można było wykorzystać lub sprzedać. Poza uczelnią ścinano także słupy, wywożono trakcje, tory, a nawet całe fabryki z ich zawartością, czego najlepszym dowodem jest choćby Moskwicz, który produkowany był w fabryce Opla. Fabrykę tę po prostu przeniesiono w głąb ZSRR. Innymi przykładami były żelazka, golarki, czy maszyny do szycia. Ale przecież we Wrocławiu musiało coś zostać... dla nas. Stąd powołanie straży akademickiej. Za moich czasów już jej nie było.

Jak już wspominałem, moja siostra Tosia pracowała dla profesora Teofila Zalewskiego. Wszystkie sekretarki profesorów - lekarzy znały się między sobą. Należała do nich także kierowniczką dziekanatu na naszej uczelni, pani Rzucidłowa. Śmiem twierdzić, że na Akademii Medycznej dla studentów była to niemal najważniejsza osoba ze wszystkich. Wraz z wieloma pracownikami wydziału lekarskiego przybyła do Wrocławia ze Lwowa. Ponieważ na sesji egzaminacyjnej kolejność zdawanych przedmiotów miała niezwykle istotne znaczenie, jako starosta pierwszego rzutu konkurowałem ze starostą drugiego rzutu, chcąc dla kolegów z roku ułożyć najkorzystniejszą siatkę zajęć. W pierwszym semestrze nie miałem na to wielkiego wpływu, ponieważ plan ułożył dziekanat. Ale potem starostowie musieli się postarać o dobry grafik. Dlaczego? Otóż, wybiegając w przód: postawmy Histologię z Embriologią naprzeciw Anatomii Prawidłowej. Aby pochłonąć wiedzę z pierwszego, wystarczył tydzień. Ale anatomia wymagała kilku tygodni kucia. Dlatego najważniejsze było zdawanie trudniejszego egzaminu najpierw. Bo po nim był czas na naukę łatwiejszych przedmiotów. Zanim doszło do egzaminów po trzecim semestrze (w tym pierwszego z anatomii), starosta rzutu drugiego już

wiedział, że jestem trudnym przeciwnikiem, bo kilka razy udało mi się go wyprowadzić w pole. Dzięki temu trudne egzaminy mój rzut zdawał w osiemdziesięciu procentach, podczas kiedy w drugim zdarzało się nawet siedemdziesiąt procent porażki. Dzięki temu, że byłem starostą, na egzaminach mogłem siedzieć z profesorem przy stole. Czasem udawało mi się coś komuś podpowiedzieć i podwyższyć zdawalność na rzucie. Na przykład nasz profesor od chemii lubił system losowania pytań egzaminacyjnych. Student losował zadanie. Podczas kiedy profesor pytał innego studenta, kolega pokazywał mi ukradkiem pytanie, które otrzymał. Pisałem wtedy odpowiedź na identycznej, czystej kartce, wsuwałem ją do mankietu nogawki lub do buta i pod stołem przekazywałem zdającemu. Ten podmieniał moje rozwiązanie na pustą stronę, którą chował. Potem podchodził do tablicy, przepisywał wzór i zaliczał zadanie.

AKADEMIA MEDYCZNA
w WROCŁAWIU


LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE DLA PRACUJĄCYCH
ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Ob. Cyganiak Leopold
(imię i nazwisko)

 urodzony dnia 9 lipca 1932 r.
w Łwowie
powiat: Łwów

po ukończeniu nauki w liceum ogólnokształcącym dla
pracujących zdał egzamin dojrzałości przed Państwową
Komisją Egzaminacyjną, powołaną przez Prezydium
Majewódzkiej Rady Narodowej — Wydział Oświaty
Pismem z dnia 10 maja 1953 Nr 504/53

Świadectwo niniejsze uprawnia do studiów w szkołach wyższych w myśl art. 79
i 80 dekretu z dnia 28 października 1947 r. o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego
(Dz. U. R. P. Nr 66, poz. 415).
Liceum Ogólnokształcące dla Pracujących

Nr 1 imienia 1 w Wrocławiu
Wrocław, dnia 3 czerwca 1953 r.

Nr 3-a

CZŁONKOWIE PAŃSTWOWEJ
KOMISJI EGZAMINACYJNEJ
Stanisław Mendel
Alfons

 PRZEWODNICZĄCY PAŃSTWOWEJ
KOMISJI EGZAMINACYJNEJ
Jankowski

Miało Główną nr 127

PZWS Wrocław C 1110 — XI: 5 — 10.000 z 31 — C-231248 — XII: 51 — 100 g, M. V

Świadectwo dojrzałości uzyskane w Liceum dla Pracujących.

Poza samą nauką, studia to też inne obowiązki. Pamiętam pogrzeb profesora Ludwika Hirszfelda, który założył we Wrocławiu Zakład Mikrobiologii. Gdy oddawano mu ostatnią cześć, leżał w swoim zakładzie, gdzie wybudowano (...) piękną salę wykładową. Pogrzeb był państwowy, gdyż profesor zasłużył się nauce. Sam był bardzo wierzącym człowiekiem. Na takim pogrzebie nie mogło być jednak księdza, choć profesor z pewnością by sobie tego życzył. Przed rozpoczęciem części oficjalnej, na której przemawiało kilku partyjnych dostojników, a która zakończyła się długim przemarszem konduktu przez miasto, widziałem, jak w zakładowej sali zgromadziło się kilku księży, odprawiających modły pogrzebowe. Na uroczystościach było mnóstwo studentów. Poza obowiązkiem, który wynikał z poszanowania tak wielkiej osobistości świata medycznego, były też chęci. Powinniśmy i chcieliśmy tam być.

Inną zupełnie sytuacją były owe nieszczęsne pochody pierwszomajowe. Jeden z nich omal nie pozbawił mnie możliwości studiowania. Rozdawałem wówczas obowiązkowe czerwone „szturmówki”. Jedna z koleżanek z roku, Żydówka, nie chciała jej ode mnie przyjąć.

- Nie podoba się koleżance kolor? - zapytałem. - Ma koleżanka coś naprzeciw barwom Polski Ludowej?

Musiałem zachować się w ten sposób. Byłem odpowiedzialny za wygląd mojego rzutu. Nie mogłem sobie pozwolić na jakąkolwiek wpadkę. Tym bardziej z moją przeszłością. Niestety... Nie spodziewałem się, że tak bardzo ją uraziłem. Pewnego dnia zostałem wezwany na egzekutywę POP. Ponieważ cały czas miałem przed oczami widmo własnej odsiadki i to, że może ona wypłynąć, bałem się, że to koniec mojej uczelnianej kariery. Zobaczyłem moją urażoną koleżankę.

- Koleżanka twierdzi, że opowiedział pan dowcip, który obraża Polskę Ludową - zostałem poinformowany przez jednego członków POP.

- Nie przypominam sobie... - odparłem ze świadomością, że to zemsta za to, iż śmiałem jej nakazać przyjęcie szturmówki.

- Z pewnością...

- To może koleżanka powie, jaki to dowcip? - przerwałem. To był dobry pomysł. Okazało się, że koleżanka się nie przygotowała. Nie potrafiła włożyć w moje usta żadnego żartu, który mógłby być obraźliwy w stosunku do władzy ludowej. Po niedługim posiedzeniu, podczas którego moja oskarżycielka zmagiała się ze słabą pamięcią, zostałem oczyszczony z zarzutów.

Często też spotykaliśmy się na uczelni, by kogoś „potępić”. Można to uznać za komunistyczny zwyczaj, który miał na celu utwierdzenie młodych ludzi w przekonaniu, że władza ludowa ma rację, a każdy kto jej się sprzeciwia, powinien zostać napiętnowany. Na tamtym spotkaniu, które wspominam, potępialiśmy biskupa Kaczmarka, któremu usiłowano wmówić współpracę z Niemcami. Żydówka, która prowadziła to zebranie, była też wiceprzewodniczącą uczelnianego ZNP. Za moimi plecami siedział mój kolega, Józef Kajzer, który przez całe spotkanie milczał. Zapadła cisza. Nikt już nie miał ochoty nikogo potępić. Wtedy krzesło za mną stęknęło, a kolega wstał i huknął na całą salę:

- O Polsko! Twa zguba w Rzymie leży! Juliusz Słowacki... - Usiadł. Jakże trafnie ujęte... Wszystkim nam chciało się śmiać, ale nie mogliśmy.

„Pozłacana nędba”

Starałem się też jakoś zarobić. Otrzymałem propozycję objęcia stanowiska sekretarza do spraw przyjęć na Akademii Medycznej. Praca ta opierała się na prowadzeniu sekretariatu jednej z trzech komisji przyjęć. Dzięki objęciu tej funkcji nie tylko zarobiłem, ale byłem też świadkiem wielu ciekawych, czasem i bulwersujących sytuacji. Kiedyś zdawała na uczelnię dziewczyna, która właściwie nie miała szans się dostać. Nie jestem pewien, ale kandydatka chyba nazywała się Szczęsna. Kończyła Liceum Katolickie u Sióstr Urszulanek, toteż od razu była „spalona”. Na domiar złego jej świętej pamięci ojciec był przedwojennym policjantem, co całkowicie odbierało jej możliwość studiowania na jakiegokolwiek wyższej uczelni. Byłem wtedy przy jej egzaminie, jako sekretarz właśnie. Dziewczyna śpiewając odpowiadała na pytania egzaminacyjne. Posiadała dużą wiedzę i niezłą aparycję. Zacząłem zastanawiać się, jak jej pomóc. Czynniki partyjne, czyli członek komisji, spowinowacony z partią, od razu ją skreślił.

- Spójrzcie tylko. Jej ojciec to były policjant. Na pewno miał na nią wpływ reakcyjny. Takiego kogoś nam tu nie potrzeba - skwitował.

- Towarzyszu? - wtrąciłem nagle. - Czy towarzysz wierzy w życie pozagrobowe?

- No wiecie? - obruszył się.

- Wobec tego, jak towarzysz tu spojrz - podsunąłem mu papiery dziewczyny, na których opierał swój osąd. - Ona miała niecały rok, gdy ojca zabili. Nie mógł mieć na nią żadnego wpływu, chyba, że z za grobu.

O dziwo, po takiej uwadze, dziewczyna zastała przyjęta.

Po drugim roku kaperowano studentów obsługi 5. Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Usłyszawszy, że dobrze tam płacą, postanowiłem znów poudzielać się społecznie. Trochę się wokół tego zakręciłem i dostałem pracę. Pojechałem do stolicy. W IMCE przy ul. Konopnickiej 8 dostałem jednoosobowy pokój. Do tego znajdowała się tam jeszcze duża sala gimnastyczna i miałem wyżywienie w stołówce. Warunki pierwszego sortu.

Był rok 1955. Rozpocząłem pracę w Sztapie Festiwalowym i zostałem przydzielony do sekcji spotkań młodzieży i studentów (uczestników) z przedstawicielami najwyższej władzy Polski Ludowej. Zacząłem więc organizować spotkania. Na całe szczęście, jak się okazało, nie tylko z przedstawicielami władzy, ale wybitnymi ludźmi kultury. Na przykład z Martą Mirską, Lucyną Winnicką, Igorem Newerlym czy Władysławem Broniewskim. Ale również i z takimi osobistościami polityki, jak Stanisław Radkiewicz czy Władysław Sokorski... Festiwal był tak wielkim wydarzeniem, że w Warszawie występował nawet chiński cyrk! Oczywiście miałem kartę wstępu na wszystkie imprezy, ale w stolicy mieszkała moja sympatia. I ona była rzecz jasna najważniejsza. Dzięki temu, że wstąpiłem do sztabu, mogłem się z nią widywać częściej. Dbając jednak o dziewczynę i pracę, niewiele miałem czasu cokolwiek innego, między innymi na naukę. Mimo że tak doskonale mój sztab organizował przebieg festiwalu, pewien Duńczyk powiedział do mnie łamanym niemieckim: „Ładnie wygląda ta wasza poślaczana nędza”. W pewnym sensie tak było... niestety. Impreza, która najbardziej mi wówczas zapadła w pamięć, odbywała się u pana Cyrankiewicza, w ogrodach rady ministrów. Przepiękne miejsce. Śpiewały Marta Mirska i Maria Koterbska. W przyjęciu uczestniczyli najważniejsi członkowie Rady Państwa, osobistości ze świata kultury i my – sztab organizacyjny. Poznałem wtedy osobiście Józefa Cyrankiewicza. Pośród rozlicznych potraw, których nie spotykało się na polskich stołach w ogóle, królowała wódka eksportowa.

Festiwal dobiegł końca, a mnie zastała sesja egzaminacyjna i „na dzień” dobry egzamin z biologii u profesora Stuchlego. Niestety, akurat z nim miałem na pieńku. Zgrzytnęło między nami, gdy podczas jego wykładu miałem na stole rozłożone kartki, na których rozpisywałem kolejność egzaminów w sesji dla mojego rzutu. Któryś z kolegów, wchodząc spóźniony do sali amfiteatralnej, otworzywszy drzwi wytworzył przeciąg.

Ten sprawił, że moje notatki sfrunęły wprost pod nogi profesora.

- Proszę pana - powiedział profesor, wynioskowskawszy po zapiskach, że to moje kartki. - Tej biologii będzie się pan musiał nauczyć, mimo że jest pan starostą.

- Przepraszam - powiedziałem kurtuazyjne i pozbierałem w pośpiechu notatki.

Na egzamin wszyscy wypychali mnie „na pierwszego”. Robili tak zawsze, bo „pozytywnie zaczynałem”. Traktowali mnie więc trochę jak „szczęśliwą maskotkę”. Niestety chwilę później wyleciałem i zostałem zaproszony na poprawkę. Tym razem „dobrze” się nie zaczęło... Profesor



Dyplom ukończenia studiów medycznych na wrocławskiej Akademii Medycznej

był już nastawiony nieprzychylnie i znalazł w mojej wiedzy odpowiednio dużą lukę, by nie zaliczyć egzaminu.

Za drugim razem, już po wakacjach, profesor znów mnie oblał. Tym razem wpisał mi ocenę niedostateczną, rozwekając protokół w indeksie

na trzy rubryki. Potem, nie wiem dlaczego, kazał to wywabić swojemu asystentowi, chyba pod drugą poprawkę. Za trzecim razem dostałem temat z Lamarcka.

- Jean Babtiste Pierre Antoine de Monet Chevalier de Lamarck urodził się 1. sierpnia 1744 roku w Bazentin-le-Petit... - zaczęłam i ujrzałam na twarzy profesora wyraz uznania. Bo chyba do tej pory żaden z moich kolegów nie wymienił wszystkich imion Lamarcka. Wyuczyłem się biologii zgodnie z prorocstwem profesora Stuchlego. Zrobiłem wszystko, by tym razem mnie nie oblał.

- No, proszę pana - powiedział gdy skończyłem recytować życiorys Lamarcka. - Teraz mogę panu z czystym sumieniem wstawić dostateczny - powiedział profesor. Chociaż tyle... Szczególnie, że zaliczyłem już wszystkie egzaminy i został mi tylko ten.

Niestety z moją sympatią Hanią wszystko się posypało. To była moja wina... Historia przedstawia się tak. Na jej roku, czyli tym o jeden niższym niż mój, skumpłowały się bardzo ładne dziewczyny: Irena W. (nie skończyła studiów, ale wyszła za mąż za lekarza), Łesia Kwiatkowska, była córką znanego okulisty, a potem wyjechała z ojcem do Izraela, Kaganówna i moja Hania. Urządzaliśmy sobie wspólnie ciekawe prywatki. Większość imprezowego towarzystwa uprawiała już zawód lekarza. Studentów było niewiele, w tym ja. Dzięki spotkaniom wyrobiłem sobie dobre kontakty, na przykład u doktora Łazarkiewicza z anatomii prawidłowej, gdzie potem podjąłem wolontariat. Czułem, że mam czas na wszystko. To jednak, że nie związałem się z Hanią (być może na amen), zawdzięczam sobie. Moja sympatia zdała wszystkie egzaminy, ale nie zaliczyła jednego przedmiotu – ekonomii politycznej. Nie inaczej jak dlatego, że gdy profesor zaczął ją podrywać, ona go zignorowała. Gdyby przeszła przez sesję bez problemów, mogłaby skorzystać z możliwości przeniesienia się do Warszawy (skąd zresztą pochodziła), ale ponieważ profesor ją oblał, o przejściu do stolicy nie było mowy.(...)

Hania była jedynaczką. Po zdanych egzaminach wróciła do domu, gdzie została „wchłonięta” przez stęsknionych rodziców. Kiedy mieszkała we Wrocławiu, miałem na nią duży wpływ. Potem go utraciłem. Przez jakiś czas kursowałem między Warszawą a Wrocławiem, by utrzymać naszą relację. I to samolotem, co dużo mnie kosztowało! Jej matka, która nie miała z początku pojęcia o sympatii córki, dołożyła wszelkich starań, by odkryć powody znikania Hani z domu. I odkryła mnie, na nasze niesz-

częście. Od momentu, w którym dowiedziała się o naszym związku, Hania zaczęła się do mnie odsuwać. Powoli, ale skutecznie. Nasze relacje zbladły, zmizerniały i w końcu zniknęły. Przestałem jeździć do Warszawy. W końcu wyszła za mąż za lekarza. Razem po czasie wyjechali do Danii. Podobno Hania ma tam cały czas niezłe funkcjonującą prywatną praktykę pediatryczną. Nigdy nie odważyłem się do niej napisać. Mimo że dowiedziałem się, że ona i ów lekarz są po rozwodzie.



Budynek Kliniki Chirurgii we Wrocławiu.
Fot. Aw58, wikimedia commons.

Pod koniec trzeciego roku studiów obudziłem się z tego pięknego snu o Hani i prywatkach i odkryłem, że nauka nie idzie mi tak, jak dotąd. W międzyczasie, w przyływie smutku i chandry, wpadłem w towarzystwo ludzi pijących. Spotykaliśmy się często przy Kiłńskiego w mieszkaniu nad delikatesami u doktora „Żużu”. W skład naszej grupy wchodził między innymi „Żużu”, który chwilowo wtedy był mężem mojej koleżanki Ewy. Doktor „Żużu” był niezwykle zdolnym chirurgiem (...). On także, jak większość, przywędrował do Wrocławia ze wschodu. Myślę, że poza jakimś doktorem Weberem był to

najzdolniejszy chirurg we Wrocławiu zaraz po wojnie. Ponieważ miałem ogromną łatwość we wchodzeniu w towarzystwo, znów mogłem obracać się wśród lekarzy i wyrabiać sobie kontakty. Do tego właśnie ta grupa miała duży wpływ w ogóle na dzieje Wrocławia. Należeli do niej między innymi znani lekarze, działacz komitetu wojewódzkiego partii, członkowie administracji z Akademii Medycznej, właściciel sklepu z butami na Świdnickiej i inni. Ludzie ci byli bogaci, mieli chody, auta, mieszkania

i wiele znaczyli. Impreza zaczynała się pod wieczór od pierwszego kieliszka. Właściciel sklepu pierwszy schodził na dół po czystą eksportową, szprotki i chleb. Przy wódce rozpoczynano poważne rozmowy. Bardzo mi to imponowało. Mogłem wtedy załatwić każdą sprawę, gdybym tylko zechciał z tego skorzystać. Ale nigdy nie skorzystałem. Trwające do rana spotkania, opijane ogromną ilością alkoholu pogrążyły moją naukę w czeluściach zapomnienia i porannego bólu głowy. W końcu, w przeblysku świadomości uznałem, że muszę dokonać wyboru: albo rzucę studia albo moje imponujące towarzystwo. Wreszcie uznałem, że studia dadzą mi więcej niż nowe znajomości, choć nie było to łatwe. Nowi przyjaciele mieli na mnie spory wpływ, choć gdy ja przestałem ich odwiedzać nikt za mną „nie płakał”. Okazało się, że to mnie bardziej zależało na nich, niż im na mnie, co przecież było do przewidzenia. Stwierdziłem, że moja rzeczywistość to edukacja i rzetelność. Uniknąłem bolesnego upadku, z którego ciężko byłoby mi się podnieść. Po trzecim roku zrezygnowałem ze starostwa. Wtedy jeszcze na Akademii po szóstym semestrze rozchodzili się nasze drogi. Część z nas szła na medycynę ogólną, część na stomatologię, a inni na pediatrię. Należy pamiętać, że to rozgraniczenie na pediatrów w owym czasie wynikało z tego, iż przebywali oni nieco skróconą drogę do uzyskania zawodu. A to dlatego, że po prostu brakowało lekarzy dziecięcych i trzeba było ich czym prędzej wyszkolić. Wcześniej, gdy ta sama sytuacja dotyczyła lekarzy w ogóle, szkoliło się felczerów (radzieckim sposobem). Teraz chodziło przede wszystkim o braki w pediatrii. Stomatologia szła w swoją stronę, a część z nas, w tym ja, szliśmy dalej na wydział lekarski, skąd mogliśmy podjąć dalszą specjalizację. W międzyczasie po odsiewie, jakiego dokonał profesor Józef Hano, zostało nas 310 studentów. Kilkudziesięciu z nas wyleciało z powodu farmakologii. Widocznie im nie leżała... Hano miał też katedrę w Krakowie. Był niezwykłym autorytetem i nikt mu się nie sprzeciwiał.

Przez letarg w moim nowym towarzystwie, które zdecydowałem się rzucić, zorientowawszy się, że moja egzystencja na uczelni stoi pod znakiem zapytania, postanowiłem z całym impetem uderzyć w farmakologię właśnie. W połowie maja, czyli jeszcze przed sesją byłem już po egzaminie. Miałem nieco czasu, by podszkolić się z innych przedmiotów.

W sesji poszedłem na egzamin z anatomii patologicznej. Byłem naprawdę dobrze przygotowany. Rano wypilem jakąś kawę, czy coś takiego. Nie wiem, co to była za kawa ani co za dzień... W każdym razie o-

blałem. Pozaliczałem lżejsze przedmioty i... wyjechałem na wakacje. Z obłąną anatomią patologiczną i nieprzystąpieniem do mikrobiologii. Ciężka sprawa. Kiedy zaczął się październik, wciąż miałem do zaliczenia te dwa ogromne egzaminy – komisyjnie anatomię patologiczną i w drugim terminie mikrobiologię. Wtedy dopiero zrobiło mi się gorąco. Po raz pierwszy na studiach, tak bardzo.

Na egzaminie z mikrobiologii na szczęście mi się udało. Pozostał ten najgorszy. Na całe szczęście zdałem wszystko, choć miałem nóż na gardle. Zaliczyłem najtrudniejszy trzeci rok. Zastanawiałem się nad specjalizacją. Chciałem iść na chirurgię lub ginekologię z położnictwem. Dzięki moim kontaktom doszukałem się u starszych kolegów. Mogłem znów podjąć pracę. Wróciłem więc na Gdańską i zostałem zatrudniony jako „przyuczona pielęgniarka”. Odetchnąłem... Zacząłem się udzielać w kulturalnym towarzystwie. Uczęszczałem do klubu dziennikarza, gdzie poznałem wiele pięknych, znaczących kobiet. Miałem swoje ulubione kawiarnie we Wrocławiu. Czasem opuściłem wykład, ale zacząłem też chodzić na dyżury chirurgiczne.

Cdn.

Jan Tarnawski

Ojcu

Tęsknota

Mgławica tęsknot znowu na mnie czeka.
Lwów ukochany często mi się śni.
Dzień jasny wstaje, a widok z daleka
Błękitnych fiołków srebrzyście lśni.

W chmurach nostalgia cicho płynie.
Złociste kłęby tumanów gna,
Że przeznaczenie mnie nie minie,
Więc serce rani tęsknota zła...

Tęsknota męczy, tęsknota boli,
Tęsknota serca i duszy mej.
We śnie nadchodzi cicho, powoli,
Najmilszy uśmiech twarzy Twej.

Na barwnej łące kwiaty pachnące,
Zielona trawa i słońce dnia.
Koniki, muszki, trzmiele brzęczące
Na chwilę cichnie tęsknota ma.

Strofy pochodzą ze zbioru *Wiersze*, ofiarowanego redakcji przez Stanisława Tarnawskiego.

Świrz w józeffińskim katastrze (cz. III)

Red. Na stronie www.miasta-galicji.pl/assets/materiały/tom_47_sz.pdf ukazało się kolejne opracowanie z cyklu *Galiczyjskie miasta i miasteczka w józeffińskim katastrze gruntowym*, tom XLVII. Zawiera on informacje o Bóbrce, Mikołajowie i Świrzu, opracowane przez Grzegorza Zamoy-skiego. Poniżej znajduje się tekst wypisany z tego opracowania o Świrzu, będący przyczynkiem do historii miasteczka.

Opisanie gromady miasteczka Świrz. - Nie zachowało się.

Wykaz posiadaczy nieruchomości w Świrzu

Po nazwisku znajduje się numer zajmowanej nieruchomości, a po nim powierzchnia gruntów (w sążniach), podana przez gospodarzy. Dane pochodzą z 1787 r.

Abramko, rzeźnik - 62 - 0, Abramowicz Michel - 101 - 0, Abramowicz

Michel - 89 - 0, Abramowicz Szmujło - 48 - 0, Adaszkiewicz Stefan - 149 - 2146, Antoniszyn Andrzej - 109 - 9009, Aron Szmujło - 61 - 0.

Bedryczyn Chaim - 40 - 0, Berezowa Kaśka (wdowa) - 193 - 33044, Bielecki (paroch) - 95 - 35791, Borszowski Hryńko - 18 - 5008, Borszowski Stach - 208 - 17066, Buczacki Jan - 106 - 584.

Cerulik Mordko - 84 - 0, Cerulik Zuś - 83 - 0, Cetner Dominik - 1, 2, 237, 260 - 4009818, Cymbarska Marcjanna - 154 - 1191, Czajkowski Jan - 249 - 0, Czapliński Jakub - 178 - 15212, Czarnoski Andrzej - 197 - 17094, Czerniaczka wdowa - 125 - 24522, Czerniak Bartłomiej - 25 - 18157, Czerniak Jan - 11 - 23357, Czerniak Michał - 28 - 17437, Czerwiński Stanisław (stolarz) - 229 - 5626.

Demkowicz Bazyli - 33 - 6804, Demkowicz Iwan - 108 - 9801, Demkowicz Jacek - 22 - 6046, Demkowicz Semen - 54 - 17958, Demkowicz Stefan - 23 - 3708, Drączkowski Kazimierz - 68 - 11481, Drączkowski Maciej - 8 - 22846, Dymar Fiszel - 88 - 0, Dziewulski Benedykt - 71 - 0.

Froimowicz - 98 - 0, Froimowicz Szulim - 60 - 0, Froimowicz Uryn - 73 - 0. Gałeczka Iwan - 209 - 36843, Głowacki Michał - 181 - 38960, Grochowski Franciszek - 247 - 0, Grochowski Józef - 24 - 952, Grochowski Marcin - 24 - 1417.

Hajduk Elias - 39 - 1674, Halejko Piotr - 227 - 1941, Hałajko Iwan - 224 - 27394, Hałajko Wasyl - 221 - 8569, Handzia wdowa - 137 - 314, Hawryszko Jacek - 35 - 3281, Herszowicz Jankiel - 93 - 0, Hnatowska Magdalena - 69 - 280, Hołodniak Jakub - 196 - 33375, Hołodniak Maciej - 195 - 1670, Hołowaty Jan - 215 - 2728, Hołowaty Wasyl - 214 - 45147, Hunda Leib - bn - 0, Hutnik Jakub - 199 - 8817, Hutnik Mateusz - 7 - 5921, Hutnik Wojciech - 9 - 5998.

Icek piekarz - 52 - 0, Iwanicki Krzysztof - 142 - 12298.

Jakubów Jan - 233 - 646, Jankowski Jan - 113 - 6333, Jenta - 151 - 0, Josicha wdowa - 96 - 0, Josiowicz Cudyk - 91 - 0, Josiowicz Hadzia - 103 - 0, Josiowicz Leiba - 76 - 0, Josiowicz Majer - 94 - 0, Jowlowa - 120 - 0.

Kaczyński Antoni - 120 - 20073, Kalimończyk wdowa - 113 - 15779, Kalinowski Stefan - 145 - 8155, Kasprak Michał - 235 - 657, Kaspryszyn Jakub - 139 - 22938, Kisielewicz Marcin - 80 - 395, Kisielewicz Marcin - 89 - 3742, Kisielewicz Michał - 132 - 30708, Kisielewicz Stanisław - 41 - 3615, Kleszczyński Jan - 230 - 13307, Kleszczyński Tadeusz - 168 - 20815, Kłosowski Franciszek - 225 - 13408, Kłosowski Józef (leśny) - 223 - 10066, Kłosowski Marcin - bn - 0, Komar Jacek - 169 - 23064, Kosaska

wdowa - 248 - 4905, Kosowski Józef - 248 - 802, Kosterkiewicz Jacek - 87 - 5725, Kotlarz Liber - 38 - 0, Kowalów Jan - 210 - 6206, Krawiec Dawid - 47 - 0, Krawiec Majer - 56 - 0, Krawiec Wolf - 59 - 0, Krzykliwy Hryńko - 146 - 3298, Kuchmistrz Stanisław - 143 - 14618, Kurowicki Andrzej - 216 - 23998, Kuśnierz Icek - 100 - 0, Kuśnierz Michel - 50 - 0.

Lejba wdowa - 12 - 0, Lejbowicz Mordko - 13 - 0, Lejbowicz Sruł - 105 - 0, Lejbowicz Szlomko - 66 - 0, Lejbowicz Tewel - 99 - 0, Lewicki Karol - 81 - 2436, Lewicki Stefan - 81 - 649, Lipny Jacek - 167 - 3358, Lipski Wasyl - 141 - 8340, Lisowski Michał - 77 - 454.

Łaba Jacek - 44 - 7334, Łaba Piotr - 6 - 5270, Łaba Stanisław - 152 - 5749, Łaza Marcin - 19 - 36590, Łepski (Lipski?) Stefan - 34 - 1317, Łomiński Fedko - 188 - 29537, Łomiński Tymoteusz - 189 - 22429, Łomiszwowski - 250 - 10914.

Macyszyn Kazimierz i Jan - 262 - 42443, Majorowicz Abraham - 104 - 0, Malinowski Andrzej - 239 - 0, Markowski Marcin - 72 - 2051, Matkowski Jan - 222 - 21351, Mazurkiewicz Józef - 163 - 1920, Mazurkiewicz Kazimierz - 157 - 3251, Mazurkiewicz Kazimierz - 194 - 5262, Mazurkiewicz Krzysztof - 162 - 17924, Mazurkiewicz Maciej - 180 - 46196, Medycki Franciszek - 261 - 4991, Medycki Jakub - 110 - 12293, Mitraszewski Józef - 37 - 2486, Mogilnicki Jan - 177 - 8682, Moszkowicz Eli - 92 - 0, Mudrak Jakub - 130 - 27418.

Nakoneczny Fedko - 205 - 41820, Neronowicz Jadwiga - 261 - 0, Niesłuchowski Wojciech - 29 - 735, Nisakiewicz Michał - 254 - 3174, Nisakiewicz Wawrzyniec - 31 - 2038, Nowakowska Magdalena - 39 - 0, Nusyn wdowa - 90 - 0.

Ośnicka wdowa - 36 - 3789,

Parki Moszek - 67 - 0. Pawliszyn Michał - 117 - 11748, Pejsak piekarz - 150 - 0, Petryszyn Iwan - 212 - 18901, Pilny Bartosz - 259 - 5789, Pilny Franciszek - 27 - 20996, Pilny Gabriel - 134 - 24351, Pilny Mikołaj - 32 - 2572, Pilny Wojciech - 138 - 15045, Podgrobelski Jan - 200 - 30003, Podgrobelski Tomasz - 251 - 3292, Podkowiński Franciszek - 252 - 3111, Podłużewicz Iwan - 226 - 20290, Podłużewicz Teodor, paroch - 218 - 40316, Proboszcz par. rz.-kat. - 3,4 - 171964.

Rewera Stanisław - 136 - 11317, Rogowski Szymon - 119 - 39212, Rokicki Mateusz - 239 - 26678, Rokicki Wojciech - 112 - 10378, Sawicki Maciej - 128 - 5042, Sawicki Mikołaj - 124 - 19481, Sobański Andrzej - 192 - 11424, Sokalski Antoni - 144 - 750, Sokalski Antoni - 148 - 0, Szeptor



Spotkanie proboszcza świrskiego z gośćmi nadleśniczego Hanaczówki, Bronisława Galińskiego. Od lewej: 1, 2, 3 - NN, 4 - ks. Stanisław Kwiatkowski, 5, 6 - NN, 7 - Bronisław Galiński, 8 - adiunkt Ryliński; siedzi na schodach - Józef Galiński, na schodach siedzi nieznana dziewczyna.

Fotografię nadesłał p. Artur Pajor, wnuk J. Galińskiego.

Berek - 51 - 0, Spektor Szlomo - 46 - 0, Spektor Zelman - 42 - 0, Srulowicz Chaim - 49 - 0, Srulowicz Icek - 97 - 0, Stecko Nazarko - 21 - 7696, Stefaniszyn Stanisław - 211 - 13071, Stefaniszyn Stefan - 211 - 0, Stokrocki Jan - 235 - 423, Stokrocki Piotr - 232 - 712, Surmacz Jan - 181 - 0, Surmacz Józef - 181 - 2841, Surmacz Marek - bn - 288, Surmacz Wojciech - 186 - 21470, Szajna wdowa - 65 - 0, Szczepanik Krzysztof - 253 - 13430, Szczepanik Marcin - 202 - 34373, Szczerbaty Ilko - 206 - 26296, Szczerbaty Wasyl - 203 - 29701, Szlomicha wdowa - 75 - 0, Szmuklarz Joś - 74 - 0, Szmulicha Fajga - 57 - 0, Szulim Herc - 58 - 0, Szuter Augustyn - 20 - 38555, Szuter Jan - 179 - 14853, Szuter Jan - 185 - 0, Szuter Krzysztof - 115 - 11710, Szuter Krzysztof - 135 - 15980, Szuter Krzysztof - 257 - 7854, Szuter Magdalena - 118 - 28639, Szuter Michał - 133 - 16190, Szuter Tomasz - 131 - 4514, Szwed Jan - 187 - 20644, Szwed Michał - 184 - 34273, Szwed Piotr - 201 - 27983, Szwed Wojciech - 183 - 39806, Szymański Szymon - 71 - 6379.

Śliwiński Kazimierz - 236 - 11370.

Truszkowski Walenty - 70 - 242, Tur Jan - 30 - 10958, Tur Kazimierz - 126 - 17043, Tur Krzysztof - 185 - 15390, Tur Maciej - 198 - 18086, Tur Michał - 129 - 5957, Tur Stanisław - 235 - 712, Tur Wawrzyniec - 165 - 27636, Turowa wdowa - 185 - 13276.

Uchoski Michał, leśny - 228 - 1691.

Wadiak Franciszek - 10 - 19351, Widocki Grzegorz - 26 - 32643, Wierchowowski Bonawentura - 175 - 0, Winnik Herc - 45 - 0, Winnik Majer - 16 - 0, Winnik Mordko - 53 - 0, Wiśniowski Jan - 155 - 5064, Wojciszyn Michał - 234 - 826, Wołoszyn Krzysztof - 43 - 1164, Wołoszyn Krzysztof - 45 - 0, Wrzeszcz Jakub - 219 - 0, Wrzeszcz Krzysztof, stolarz - 228 - 13277, Wrzeszcz Maciej - 246 - 25974, Wrzeszcz Michał, mielnik - 219 - 20104, Wyspiański Andrzej - 256 - 3871, Wyspiański Fabian - 161 - 16615, Wyspiański Franciszek - 241 - 19012, Wyspiański Jan - 121 - 8219, Wyspiański Wojciech - 240 - 13161.

Zagórski Stanisław - 5 - 2970, Zagórski Wojciech - 238 - 2663, Zagórski Wojciech - 258 - 14192, Zając Hryńko - 116 - 773, Zając Michał - 217 - 9973, Zając Omelian - 107 - 10248, Zając Stanisław - 122 - 6275, Zaporoski Bazyli - 147 - 7622, Zaporoski Jan - 78 - 540, Zarzycki Dominik - 82 - 283, Zazulak Jan - 123 - 571, Zazulak Józef - 123 - 789, Zazulak Kazimierz - 111 - 27468, Zazulak Kazimierz - 17 - 14506, Zazulak Wojciech - 114 - 12759, Zazulak Wojciech - 127 - 23380, Ziółcecki Tomasz - 204 - 760, Zubrzycki Jan - 176 - 426, Zymkowa Pesia - 55 - 0.

Żebrak Walek - bn - 0, Żółtański Franciszek - 158 - 593, Żółtański Kazimierz - 191 - 8281, Żółtański Mateusz - 79 - 471, Żółtański Piotr - 85 - 5318.

Dziesiątka gospodarzy, mająca największą powierzchnię gruntów to:

1. Mazurkiewicz Maciej - 16 ha. 2. Hołowaty Wasyl - 16 ha. 3. Macyszyn Kazimierz - 15 ha. 4. Nakoneczny Fedko - 15 ha. 5. Szwed Wojciech - 14 ha. 6. Głowacki Michał - 14 ha. 7. Szuter Augustyn - 14 ha. 8. Gałeczka Iwan - 13 ha. 9. Szwed Michał - 12 ha. 10. Hołodniak Jakub - 12 ha.

Sumariusz fasji (oszacowania zbiorów) gromadzkiej miasteczka Świrz

1. Zwierzchność dworska posiada:

a) pola orne - 329 morgów, z których zebrano (w korcach): pszenicę -

98, żyto - 528, jęczmień - 1019 i owies - 1752,

b) łąki, stawy i pastwiska 969 morgów, z nich zebrano (w cetnarach):

siano słodkie - 5417, siano kwaśne - 1352 i potraw 292 ,

c) lasy - 1363 morgi, które dały 675 sążni drewna twardego i 557 sążni drewna miękkiego.

2. Poddani posiadają:

a) pola orne - 631 morgów, z których zebrano (w korcach): pszenicę - 115, żyto - 665, jęczmień - 2309 i owies - 2929,

b) łąki, ogrody i pastwiska - 961 morgów; dały one (w cetnarach) 7767 siana słodkiego, 529 siana kwaśnego i 1135 siana z drugiego pokosu.

Józef Wyspiański

Grypsy z przemysłańskiego aresztu (cz. II)

Gryps nr 6. Rozmiar 120x82 mm (cała kartka z notesu), papier kratkowany, treść pisana ołówkiem niebieskim. Autor - por. Stanisław Korski. *Szanowna Opiekunko! Spotkało mnie dziś wielkie rozczarowanie! Z opisu podanego mi przez „Przemysłań” wiedziałem, że moja Opiekunka jest w wieku 48-50 lat, więc też dzisiaj, gdy udało mi się wyjść rano po wodę - szukałem wzrokiem starszej Pani - i tu nastąpiło to nadzwyczaj miłe rozczarowanie - poznałem Panią po dzbanuszkach, w którym otrzymywałem kawę. Jestem zmuszony stwierdzić (proszę nie uważać to za komplement), że zaletom wewnętrznym odpowiadają całkowicie zalety zewnętrzne. Przepraszam bardzo, że wyszedłem nie ogolony lecz w mojej sytuacji proszę o wybaczenie. Po dzisiejszym widzeniu się nabrałem ochoty do dalszego życia. Za proszki pięknie całuję rączki, które tyle dobrego dla mnie uczyniły. Koc otrzymałem - serdecznie jeszcze raz dziękuję. Niestety, moja wdzięczność jedynie może być wyrażona słowami. Za szczoteczki i proszki kolega bardzo dziękuję. Przesyłam na drobne wydatki. Za papierosy dziękuję współtowarzysze, ponieważ ja jeszcze nie palę. nie przysyłać! Nie tracąc nadziei przesyłam serdeczne pozdrowienia i umiłowanie rączek dla Opiekunki. Stach P.S. 1) Starosta składa podziękowanie na Pani ręce za załatwienie jego sprawy. 2) Czy jest możliwe wypranie koszuli w pralni? (ponieważ jest koloru ziemi) 3) Proszę o trochę silnych*

nici (kolor ciemny). Ze względów technicznych pocztowej kartki nie mogę przysłać!

Gryps nr 7. Rozmiar 78x48 mm, papier kratkowany, treść pisana ołówkiem fioletowym. Autor - por. Stanisław Korski.

Najdroższa Pani Dobrodziejko! Dziękuję bardzo za spowodowanie mego wyjścia po wodę, wieczorem pokazywałem Pani tylko to, że nas ogolili, - w białym kolorze jest Pani b. dobrze!!! Pieniądze proszę nie przechowywać tylko proszę użyć na pranie i t.d. a teraz jak zwykle prosba: o ile można proszę napisać na adres Wincentyna K. (matka) Kołomyja 3go Maja 24, że żyję, zdrow i siedzę tu. Po zatym cieszę się, że już Pani nie musi dwukrotnie wyczekiwać pod sądem. Koszula jak ulana. Kolega prosi o tytoń, bibułki i zapalki - załączam 5 zł. Na razie do widzenia! Lepiej aby mnie nie zwalniali, ponieważ zabujałem się w swojej Opiekunce na amen. Całuję rączkę. Stach! [1]

Gryps nr 8. Rozmiar 105x73 mm, papier gładki, treść pisana ołówkiem niebieskim. Autor - por. Stanisław Korski.

Dobry Wieczór „Św. Mikołajowi”. Serdeczne dzięki za cierpliwe spełnianie mych prośb, za słodczye i wiadomości stokrotne dzięki. Spodziewam mniej więcej do dwóch tygodni wyjechać na wycieczkę na Ural (99%) gdyby nas nagle wywieźli to wszystkie rzeczy jak termos i t.p. każe Pani zwrócić rano następnego dnia. Gdyby jeszcze nie wyjechał, to proszę za tydzień znów kilka słów napisać. Zdrowie na razie w porządku. Z Rosji napiszę jak tylko będę mógł. Dziękuję za wszystko i całuję rączkę. St.

Gryps nr 9. Rozmiar 103x73 mm, papier gładki (połowa blankietu sądowego wezwania, druk nr 14), treść pisana ołówkiem fioletowym. Jeden podpis prawie czytelny drugi nie, choć może umieścił go oficer Brożyna. Autor - por. Stanisław Korski.

Z okazji Świąt w imieniu kolegów i moim życzę abyśmy jak najszybciej zdrowi znaleźli się w wolnej Polsce i mogli o nią walczyć! Dla Mamusi i męża ucałowanie rączek i pozdrowienia. Do widzenia na wolności. S. Korski

Gryps nr 10. Rozmiar 142x103 mm, papier gładki (odwrotna strona blankietu wezwania sądowego, druk nr 14), treść pisana ołówkiem niebieskim.

Por. St. Korski żartując, wypełnił wezwanie w dniu 10.12.1939, wzywając E.[leonorę] R.[atajczak] do stawienia się w sądzie w dniu 15.12.1939 r. o godz. 18.00. Autor - por. Stanisław Korski.

Dobry Wieczór Siostrzyczce! Nie mogłem natychmiast odpisać, ponieważ zapowiadano szczegółową rewizję.

Sprawa mego ewentualnego wyjazdu jeszcze nie jest pewna i podstaw żelbetonowych nie mam, lecz jestem na to przygotowany jako oficer zawodowy. Oficerów rezerwy mają wypuścić w najbliższych dniach. Do mego złamania jeszcze bardzo daleko. Do wolności specjalnie się nie rwę, wolę niewolę rzeczywistą, aniżeli siedzenie w domu. Bardzo dziękuję okazywane mi serce. Wszystko kiedyś musi się dobrze skończyć, lecz na razie trzeba czekać do maja. Proszę się o mnie nie obawiać dam sobie zawsze radę, świat przedemną szeroki (szczególnie wtedy gdy granicę otworzą do Z.S.R.R.) może się z jakąś Rosjanką ożenić i wszystko będzie dobrze. Rączkę całuję pozostając (w areszcie) wdzięczny St.



Por. Stanisław Korski, autor większości grypsów. Zdjęcie przekazane z aresztu.

Gryps nr 11. Rozmiar 127x103 mm, papier gładki (odwrotna strona blankietu wezwania sądowego, druk nr 14, częściowo odcięta), treść pisma ołówkiem fioletowym. Mimo braku podpisu, charakter pisma wskazuje na St. Korskiego.

.....pozwolę sobie na dłuższą pogawędkę. Twój kochany liścik, potym list od ojca no i wieczorne zwalnianie współtowarzyszy do domu godzinę przed wieczerzą. Stół mieliśmy zastawiony jak na dzisiejsze czasy absolutnie za suto i za dobrze, małe drzewko – świeczki – sianko – krótkie przemówienie trochę ukrywanych łez no i wieczerza – następnie zaprosiliśmy do siebie (pozwolili Żydkiwie) starostę i wszystkich ofic. do naszej celi i na

wspomnieniach doczekaliśmy się 24tej a po modlitwie - spać. Na ogół można było wytrzymać. Jeżeli będziesz tak dobrą i zechcesz jeszcze raz napisać do ojca, to proszę mu podać, ażeby przyniósł dla córki: zieloną sukienką sukienkę, bluzkę zieloną starszą koszulę narciarską, szalik, ciepłe rękawiczki, zimową zieloną czapkę, kilka kołnierzyków i chusteczek skarpetki narciarskie. Myślę i tęsknię (Tekst na stronie odwrotnej) Dla Pani Ubyszowejrączek! Proszę złożyć moim rodzicom życzenia Noworoczne - treść wiadoma.

Gryps nr 12. Rozmiar 104x75 mm, papier gładki (odwrotna strona jest połową blankietu sądowego wezwania, druk nr 14), tekst pisany ołówkiem fioletowym. Prawdopodobnie kartka była zapisana w całości. Autor - por. Stanisław Korski.

Kochana Siostrzyczko! „Owijki” otrzymałem i pięknie dziękuję. Gdyby mój ojciec przyjechał proszę mu powiedzieć, aby broń Boże nie starał się prosić naczelnika o mnie, w ogóle lepiej będzie, aby nikt nie wiedział kim jest i po co przyjechał. Dwa dni temu t.j. 27 byłem przesłuchiwany i podałem swój życiorys - zarzutów żadnych nie stawiają, a co z nami będzie sami (przyznali się) jeszcze nie wiedzą. Gdyby ojciec przyjechał niech mi napisze dokładnie co ze Stryja przywiózł, kto w domu mieszka, zdrowie matki i możliwości przekroczenia granicy rumuńskiej. (.....) będziesz miała trochę kłopotu no ale taki jest „nasz” los. Co dnia więcej Cię Kocham i strasznie tęsknię. St. W poniedziałek napiszę!!

Cdn.

[1] Wincentyna Korska z d. Burhard (1890-1947), matka Stanisława, zmarła w Jeleniej Górze. Zdjęcie płyty nagrobnej przysłał Adrian Włodarczak („Spotkania Świrzan” nr 138, str. 45). Jej mąż zapewne rozstał się z życiem jeszcze na Kresach.

Na portalu www.onb.ac.at znajdują się skany „Kuryera Lwowskiego”. Z nich wypisałem wydarzenia związane z pow. Przemysłany, a także kilka innych ciekawostek. Zachowałem oryginalną pisownię.

Wydarzenia z powiatu Przemysłany podane w *Kurjerze Lwowskim* (cz. I)

Na posiedzeniu Sejmu Krajowego 8.10.1888 r. p. Romer z ramienia

Wydziału krajowego referował projekt na udzielenie koncesji mytniczych radzie powiatowej w Przemyślanach na drodze przemysłańsko-świrskiej. (9.10.1888 r.)

* * * * *

Dobry przykład. W czasie małej produktywności gospodarstw rolnych, nie należy lekceważyć najmniejszego nawet źródła dochodu. Takie źródło stanowi dziś, to znaczy gospodarstwo kobiece, o tyle naturalnie, o ile jest racjonalnie prowadzone. Owa najczęściej lekceważona przez mężów-gospodarzy produkcja nabiału, drobiu, konserw itp. przynosi obecnie wcale dobre dochody, jeżeli oprócz znajomości prowadzenia gospodarstwa, wynajdzie sobie właściwe drogi zbytu, przez unikanie faktorów, pachciarzy i drobnych przekupniów, zabierających cały zysk dla siebie.

Jako przykład może tu stanowić obywatelka ziemska z pod Przemyślan pani Gr., która od roku każdego dnia targowego przybywając do Lwowa, sama produktu swe sprzedaje na placu, a prowadząc ściśle rachunki doszła, że w czasie tym zrobiła ogółem obrotu na 910 gld. [*guldenów - J. W.*] Tymi dniami przywoziła na zamówienia 80 słoików konfitur, 30 beczulek ogórków zakwaszonych, 120 słoików korniszonów i kilkadziesiąt słoików wszelakich konserw grzybów. Że stąd pokaźny dochód mieć musi, dowodzić zbyteczne.

Pani Gr. ma zamiar wynająć obecnie odpowiedni we Lwowie lokal, w którym by siostra jej stale sprzedawała wszelakie dowożone produkty spożywcze, głównie wyroby nabiałowe. (14.10.1888 r.)

* * * * *

Ogłoszenie licytacji. W dnia 5. listopada 1888 przed południem, przeprowadzi I. Departament Magistratu za pomocą pisemnych ofert licytacji na dzierżawę głównego folwarku w Błotni w obszarze około 386 morgów w Starostwie przemysłańskim przy drodze rządowej. Cena wywołania rocznego czynszu dzierżawnego 2550 złr., wadium 10% oferowanego czynszu, jednak nie niższe jak 255 złr. Warunki licytacyjne przejrzeć można w biurze I. Departamentu Magistratu, Ratusz II. piętro. Lwów dnia 8. października 1888. (18.10.1888 r.)

* * * * *

Śp. Walerian Czajkowski [*ze Świrza - J. W.*] zmarły przed kilku dniami, zrobił uniwersalnym spadkobiercą brata swojego dr. Jana Czajkowskiego, 100000 zł. zapisał na fundację familijną, po 10000 zł. dla klasztoru św. Miłosierdzia, szpitalika św. Zofii, zakładowi dla ciemnych i głuchoniemych i szpitala powiatowego w Przemyślanach. Oprócz in-

nych drobniejszych legatów, zbiór obrazów wartości 18000 zł przekazał Zakładowi im. Ossolińskich. (31.10.1888 r.)

Z Przemyślan donoszą nam, że Rada zawiadowcza tamtejszego Towarzystwa zaliczkowego z powodu jubileuszu cesarskiego uchwaliła dnia 30. listopada przez cały czas istnienia tego Towarzystwa z czystych zysków wypłacać corocznie po 100 zł. dla funduszu szpitalnego w Przemyślanach. (2.12.1888 r.)

Zapis ś.p. Walerjana Czajkowskiego na szpital powszechny w Przemyślanach w kwocie 10.000 gld. [guldenów - J. W.] uczynił testator jako fundację jubileuszową. Na ten cel zebrała już tamtejsza rada powiatowa 17000 gld., a właściciel klucza przemysłańskiego hr. Alfred Potocki ofiarował potrzebny grunt i materiał budowlany. Wobec tego budowa szpitala rozpocznie się zapewne już wkrótce. (28.12.1888 r.)

Szajka koniokradów. Przed kilku dniami donosiliśmy o kradzieży koni w Hermanowie na szkodę propinatora Cliamajdesa, ślad prowadził ku Lwowu. Rew. p. Spang wysłedził w tych dniach przy ul. Berka 1. 10 znanych naszej policji sportsmanów Szaję Leibę Sterna z Krystynopola, który poszlakowany jest o kradzież koni w spółce z Józefem Sinkiewiczem będącym obecnie już w śledztwie - dalej przyaresztowano Salomona Garfunkla z Rawy ruskiej i Leibę Blassberga z Przemyślan. Częste wizyty w ostatnich czasach we Lwowie tych panów wobec powtarzających się systematycznie kradzieży koni w okolicy sprowadziły podejrzenie i aresztowanie. Przytem wyżej wspomniany koniokrad J. Sinkiewicz wspomniał o Żydach-wspólnikach, których jednak po imieniu nazwać nie umie. Dla konfrontacji i silnych poszlaków oddano ich do sądu i znaleziono przy nich pieniądze i kosztowności. (13.02.1889 r.)

Oficjaliści hr. Alfreda Potockiego z Kurowic zamiast rozesłania powinszowań noworocznych przesłali 9 złr. 10 ct. na fundusz stypendyjny im. Stefana Zamoyskiego, z którego pożytkować będą sieroty (córki) po członkach Towarzystwa wzajemnej pomocy oficjalistów prywatnych. (14.01.1889 r.)

Podziękowanie. Dotknięty ciężką chorobą uwięzieniem jelit,

uważaną za nieuleczalną, poddałem się leczeniu dr. Ziembickiego (syna), prymarjusza [*dawna nazwa ordynatora szpitala - J. W.*] w szpitalu powszechnym. Tenże wykonał operację ciężką i niebezpieczną, tak zręcznie i szczęśliwie, że teraz jestem już zupełnie zdrow, za co publicznie składam Mu serdeczne dzięki. Przemyślany, d. 8. marca 1889. *Mendel Mandel*, handlarz zboża. (9.03.1889 r.)

Kościół
w Glinianach,
rzadko
fotografowany
z tej strony.
Do parafii
należą: Bortków,
Gołogórki,
Krzywice,
Mazów,
Przegnojów,
Rozwożany,
Słowita,
Ścianka,
Trędowacz,
Olszanica,
Zaszków i Że-
niów.
www.rkc.in.ua



Rewizje w Glinianach. Z Glinian piszą do *Dila* [*czasopismo ruskie - J. W.*]: Nowa u nas bieda - rewizje. Przed trzema dniami z nakazu c.k. starostwa w Przemyślanach skoncentrowano żandarmerię z trzech stacji (z Przemyślan, Kurowic i Glinian) w Glinianach i przedsięwzięto surową rewizję u sześciu gospodarzy w Glinianach i czterech w Zamościu. Za czym szukano - nie wiedzieć. Wybory blisko - być może, że znowu wyszła jaka „szlachetna denuncjacja”. Gliniany w ogóle sławne są z donosów niektórych ludzi, którzy by mogli zajmować się jakąś uczciwszą robotą niż denuncjacjami. (17.04.1889 r.)

Skrytobójcze morderstwo. Żandarmerja w Przemyślanach zawia-

domiona telegramem przez tut. policję schwyciła drugiego lokatora zamordowanej Łopackiej w osobie Jana Szymańskiego ze Sołowy, zarobnika [*osoba podejmująca się pracy sezonowej*]. Schwytanego oddano sądowi w Glinianach. Poszlaki jakie ciąży na Szymańskim są nader ciężkie. Ucieczka jego ze Lwowa, dalej rozrzucanie pieniędzmi przed świętami i wesołe zabawy jakie sobie urządzał we Lwowie mówią przeciw niemu. (7.05.1889 r.)

Z Zadwórze (koło Glinian) pisze obywatel Julian Felech do cza-sopisma ludowego „Bałkiwszczyna”. „W r. 1883 otworzyłem we wsi sklepik własnym kosztem. Wszyscy: chrześcijanie i Żydzi krzyczeli, że stracę, bo sklepików żydowskich było już u nas 7, a nikt zrzęcznie koło handlu nie umie chodzić. Bogu dzięki jednak, mój handelek rozwija się dobrze. Mam zapas wszelakiego towaru, co kto potrzebuje. Rocznie targuję około 2000 gld. I dlatego radzę wszystkim, panowie gromada - gdzie jeszcze niema sklepu, założyć sobie, a podziękujecie mi.” (5.05.1889 r.)

Pożar od pioruna. W sobotę o godz. 3. po południu uderzył w Glinianach piorun w stodołę gospodarza Michała Zabłockiego, przy czym spłonęło 8 zbudowań gospodarzy i jedna chata żydowska. (5.06.1889 r.)

Z pow. Przemyślańskiego donoszą do *Dila*, że we wsi Wiśnio-wczyku znieważono czynnie przy prawyborach komisarza Szeligo-wskiego i wyrzucono go za drzwi, wskutek czego prawyборы zostały przerwane. Dnia 21. i 22 była we wsi komisja śledcza i spisywała protokoły. Dnia 24 odbyły się nowe prawyборы, które dały rezultat taki sam, jak ten, z powodu którego p. Szeligowski wywołał awanturę. (29.06.1889 r.)

Wynik wyborów z mniejszych posiadłości do Sejmu. Roman hr. Potocki wybrany 81 głosami na 142 głosujących, a Józef Towarnicki otrzymał 61. (23.07.1889 r.)

Ubytek ludności spowodowany emigracją z pow. Przemyślany, w ciągu dwóch lat, wynosi 321 osób, a z tej przyczyny wysprzedano 915 morgów ziemi. (4.08.1889 r.)

Kłopoty wiejskiego gospodarza. Z Przemyślańskiego pisze nam pewien obywatel: Mam arendarza, który wzięwszy odemnie karczmę, postanowił wcale nie płacić rat dzierżawnych, wiedząc zapewne z góry, iż natem dobrze wyjdzie. Przypuszczając, iż umowa pisemna podpisana przy świadkach jest dostateczną podstawą do upomnienia się o zapłacenie, pozwałem arendarza sądownie jeszcze w kwietniu. Doczekałem się wyroku dziś 6. sierpnia. Lecz mimo to nie otrzymałem ani pierwszej, ani drugiej raty kwartalnej. A tymczasem arendarzowi siedzieć wolno i szynkować jeszcze cały miesiąc, póki nie pozbiera zboża z pola, dodanego przeze mnie do karczmy. Jestem biednym dzierżawcą, któremu nie dość że posucha wszystko w polu wypaliła, ale jeszcze nie ma możliwości poszukiwać swej należytości. (8.09.1889 r.)

Burza z gradem wielkości jaja gołębiego dotknęła d. 7. bm. okolice Janczyna pow. przemysłańskiego, mianowicie w Błotni poniszczyła o-wies, groch, kapustę, jęczmień, proso, otawy, potłukła szyby i wiele bardzo wyrządziła szkody, a biedni włościanie zachodzą się od płaczu. Może komisja zjedzie do otaksowania szkody. (10.08.1889 r.)

Grzyby jadowite stały się w ostatnich czasach przyczyną śmierci. I tak w pow. przemysłańskim 9. bm. w Wiśniowczyku zmarło dwoje dzieci Wasyla Czupryńskiego, w Brykoniu otruło się 5 osób, z których trzy zmarły. W Ciemierzyńcach zachorowało 10 osób, z których dwie już umarły. (24.08.1889 r.)

Do Rady powiatowej przemysłańskiej, wybrany został p. Florian Stromke, właściciel części dóbr Lipowce. (27.08.1889 r.)

Towarzystwo tkackie w Glinianach ważną poruszyło sprawę. Wy-chodząc z przekonania, że kraj, liczący sześć milionów mieszkańców, z których bądź co bądź każdy nosi jakąś koszulę, jest tak znacznym kon-sumentem tkanin, że pora byłaby pomyśleć o znizeniu olbrzymiego hara-czu, jaki opłacamy sąsiednim krajom corocznie za ich przędzę, tudzież za gotowe płótna i perkale, przez nadanie przemysłowi tkackiemu w kraju lepszej organizacji niż dotychczasowa;

zważywszy, że w szkołach i stowarzyszeniach tkackich, rozsianych w różnych okolicach kraju marny gotowe już ogniska ku rozbudzaniu ru-

chu postępowego w masie tkaczy naszych;

zważywszy, że reprezentacja kraju niewątpliwie hojnie i życzliwie popiera ze znajomością rzeczy obmyślane usiłowania, mające na celu rozwój tak ważnej gałęzi przemysłu, jak tkactwo;

zważywszy w końcu, że porozumienie się ludzi, którzy już dotąd czynnie zajmowali się sprawami tkactwa w kraju, lecz rozsiani w rozmaitych okolicach, nie wiedzą o sobie, może znakomicie przyczynić się do ustalenia programu działania dla rozwoju przemysłu tkackiego i zapewni skutek pomyślny podejmowanym w tym kierunku usiłowaniom;

Dyrekcja Tow. tkackiego w Glinianach zwróciła się do wydziału Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych z wnioskiem zwołania *fachowej konferencji* osób, które czynnie zajmują się sprawami tkactwa krajowego, dla porozumienia się co do najważniejszych środków, za pomocą których możnaby ten tak ważny w naszych stosunkach przemysł udoskonalić, wzmocnić i rozwinąć. (12.09.1889 r.)

* * * * *

Do 1 listopada ogłasza się konkurs w okr. przemysłańskim: Przy szkołach etatowych Borszowie, Kurowicach, Laszkach królewskich z płacą 300 zł., zaś w Białem z pł. 298 zł. i użytek 1 morg pola, Błotni, Hnaczowie, Kimirzu, Połtwi, Wiśniowczyku. Przy 4 kl. szkole: w Przemyslanach z pł. 450 zł. i dodatkiem 45 zł. na pomieszkanie. Przy szkołach filjalnych: w Ostalowicach, Peczenii, Przegnojewie, Rozworzanach, Solowej, Stanimirzu, Tucznem, Uniowie, Wołkowie, Żeniowie, Dobrzanicy, Kosteniowie, Nowosiółce, Pohorylcach. (13.09.1889 r.)

(Wybrał J.W.)

Cdn.

Jan Hartman

Polsko-żydowskie ABC (cz. I)

(...) Trudno policzyć korzyści moralne, wizerunkowe i polityczne, jakie Polska odniosłaby, biorąc na siebie prawdę w sprawie tragicznej przeszłości relacji polsko-żydowskich. Podobnie trudno wymierzyć straty, jakie ponosimy z powodu upartego powtarzania kłamstw.

Sprawy te są niezmiernie skomplikowane i dlatego nawet ludzie

kompetentni niechętnie mówią o nich na sposób publicystyczny. To błąd. Możliwe jest mówienie prawdy uproszczonej i zredukowanej do pewnej esencji i uprawnionych uogólnień. Prawdy będącej odwróceniem kłamstw opartych na manipulacjach, przemilczeniach, podawaniu wyjątków za regułę i nieuprawnionych uogólnieniach, a więc tych wszystkich niegodziwościach, jakie składają się na tzw. politykę historyczną.

I choć robiłem to już kilkakrotnie, raz jeszcze pozwolę sobie zebrać w postaci najbardziej zwięzłej elementarne prawdy o Polakach i Żydach w czasie wojny i po wojnie. Każde z tych zdań jest prawdziwe, a ich zbiór na tyle kompletny, że nie można tu mówić o manipulacji i przemilczeniu, choć rzeczywistość była oczywiście znacznie bardziej złożona. To, co znajduje się poniżej, to pewne minimum wiedzy, które posiada każda osoba zainteresowana tematem i którą powinni posiadać wszyscy wykształceni Polacy. Takie polsko-żydowskie ABC:

1. W czasie II wojny światowej zginęło ponad 5,5 mln europejskich Żydów, a w tym blisko 3 mln Żydów z Polski. Nie są znane dokładnie straty wśród etnicznej ludności polskiej i innych nacji. Aby przynajmniej w liczbach bezwzględnych liczba nieżydowskich ofiar wojny nie odbiegała od liczby zamordowanych polskich Żydów, przyjęło się mówić, że w sumie podczas wojny zginęło 6 mln polskich obywateli – po połowie Żydów i nie-Żydów. Prawdziwa liczba ofiar etnicznie polskich jest znacznie mniejsza, lecz bardzo sporna.



Przemyślany,
ul. Halicka
(dawna J.
Piłsudskiego). W dali
widać wieżę
kościoła
rzymskokato-
lickiego,
ale jeszcze
bez kopuły.
Fot. Adam
Grobowski.

2. Stosunek etnicznych Polaków do Żydów już w latach 30. był generalnie bardzo nieprzychylny, a podczas wojny był na ogół wrogi. Wrogi był też stosunek Kościoła katolickiego do Żydów. Niemniej były też miliony Polaków, których powszechny w Polsce antysemityzm oburzał.

3. Holokaust był zbrodnią niemiecką na Żydach. W dokonaniu tej zbrodni w rozmaity sposób i często pod silną presją pomagali przedstawiciele innych narodów, np. Łotysze czy Ukraińcy. Wśród tych narodów byli też Polacy. W samych obozach koncentracyjnych obsługą komór gazowych i pieców krematoryjnych zajmowały się w bardzo dużej mierze specjalne oddziały tworzone z więźniów żydowskich. Niemcy bardzo dbali, aby eksterminacja Żydów dokonała się nie tylko ich rękami. Wywózki z gett do obozów zagłady organizowane były w dużej mierze przez same służby żydowskie. Poza murami (zasiekami) często pomagali w nich Polacy z tzw. granatowej policji, wyłapując lub zabijając tych, którzy uciekali podczas akcji likwidacyjnych. To jeden z wielu przykładów tego, że krzywdzenie Żydów dokonywało się w różnych warunkach - od pełnej dobrowolności do skrajnie silnego przymusu.

4. W pierwszej fazie wojny kilkaset (300?) tysięcy Żydów uciekło na Wschód, na terytoria okupowane przez ZSRR i dalej. Większość z nich (ok. 250 tys.) przetrwała wojnę. Pozostanie na terenie okupacji niemieckiej oznaczało prawie pewną śmierć. Było to jasne już w 1942 r., gdy Zagłada Żydów stała się faktem. Pewna liczba Żydów nie zameldowała się w gettach, a niektórzy uciekali z gett, szukając ratunku i kryjówki poza murami. Były to w większości osoby zasymilowane i dobrze sytuowane, lecz nie wyłącznie takie. Szanse ich przetrwania były jednakże niewielkie. W tzw. Generalnym Gubernatorstwie wojnę przetrwało ok. 50 tys. ukrywających się Żydów.

5. Sytuacja ukrywających się Żydów oraz osób ukrywających była straszna. Jedni i drudzy bali się w pierwszym rzędzie polskich sąsiadów, którzy mogliby wytropić, że w ich pobliżu ukrywają się Żydzi, i donieść o tym Niemcom. Tak było faktycznie w większości przypadków. Tylko nieznaczna część ukrywających się Żydów została wykryta przez Niemców bez pomocy ze strony nieżydowskich denuncjatorów. Większość Żydów, którzy przetrwali w kryjówkach, uratowała się w Warszawie i jej okolicach. Wiele osób (dzieci) przetrwało w klasztorach i zostało uratowanych przez księży, zakonników i zakonnice. Małe dzieci oddawane klasztorom często chowały się w nieświadomości swego pochodzenia.

6. Znaczna większość osób ratujących Żydów robiła to dla pieniędzy, co nie jest samo w sobie niczym naganym. Spośród nich jednakże duża część pozbawiała swoich podopiecznych Żydów wszelkiej własności, niierzadko w końcu wyrzucając ich, a nawet zabijając. Odsetek Polaków niosących bezinteresowną pomoc Żydom był bardzo niewielki, gdyż Żydzi byli uważani przez znaczną większość społeczeństwa za obcych i co najmniej nie lubiani. Natomiast wśród zasymilowanej ludności żydowskiej, mieszkającej poza gettem (w nadziei - w większości przypadków płaconej - że ich żydowska tożsamość nie zostanie ujawniona, a oni sami nie zostaną wydani granatowej policji (lub Niemcom) i posiadającej dobre papiery. Pomoc Żydom była zjawiskiem bardzo częstym. Dla Żydów inni Żydzi byli bowiem „swoi”.

7. Osób ratujących Żydów całkowicie honorowo (bez zysku) było niewiele, z pewnością jednak wielokrotnie więcej niż tych, których bohaterstwo zostało udokumentowane i uznane przez Izrael poprzez tytuł Sprawiedliwej/Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Tytuł ten posiada ok. 7 tys. Polaków – najwięcej ze wszystkich nacji. Zasługuje na niego być może i dziesięć razy więcej osób. Izrael uczynił niezwykle dużo dla udokumentowania polskiej pomocy dla Żydów, podczas gdy Polska komunistyczna nie chciała w tej sprawie robić niczego. Osoby pomagające Żydom aż do lat 90. najczęściej ukrywały ten fakt przed otoczeniem, a i sami Żydzi mieszkający w Polsce najczęściej woleli nie ujawniać tego sąsiadom; bardzo często też zmieniali nazwiska na polskie. Już bowiem w czasie wojny lub bezpośrednio po jej zakończeniu Sprawiedliwi oraz inni, którzy ukrywali Żydów, bywali mordowani (w przekonaniu, że mają u-



Ulica w Przemyślanach, 2018 r.

Fot. Anna Cisek.

kryte żydowskie kosztowności). Takich morderstw było około dwustu, co stanowi około jednej piątej wszystkich Polaków zabitych z powodu ukrywania (honorowego lub komercyjnego) Żydów. Reszta (ok. 800) została zmordowana przez Niemców.

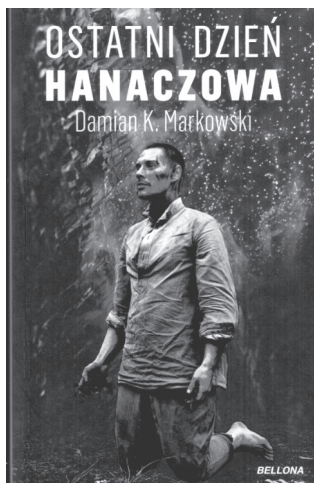
Cdn.

Kilka słów o nowych książkach

Ostatni dzień Hanaczowa

Wydawnictwo Bellona wydało pod koniec 2022 r., dawno zapowiadaną książkę Damiana K. Markowskiego, „Ostatni dzień Hanaczowa”. Autor zainteresował się historią wioski, pomocą niesioną Żydom przez mieszkańców i obroną w czasie dwóch napadów oddziałów UPA i „siekierników” - ukraińskich chłopów z sąsiednich wiosek.

Hanaczów, będąc skupiskiem Polaków w powiecie, był ośrodkiem samoobrony i bazą dla osób, które chciały przetrwać wojenną pożogę. Dzięki mądrym decyzjom miejscowego dowództwa AK przetrwało ją również wielu Żydów.



Wykorzystując relacje i wspomnienia świadków historyk kreślił obraz stosunków polsko-żydowskich na przestrzeni kilkunastu lat. Początkowo był to inny świat - jak mówili mieszkańcy Hanaczowa, Przemyślan i Świrza. Wprawdzie później został brutalnie zwyrodniony rękami faszystów niemieckich i ukraińskich, ale ludzkich dobrych cech nie wykorzenił, tak u Polaków jak i Żydów.

Szczególnie wiele miejsca poświęcił poszukiwaniu źródeł ewenementu wojennego, jedyne go w historii okupowanych ziem polskich, ścisłej współpracy polskich i żydowskich partyzantów w obronie życia, co podkreślił w podtytule publikacji, że było to polsko-żydowskie braterstwo broni.

Książka jest dla redakcji wyjątkowa, ponieważ gromadzone na stronach „Spotkań Świrzan” relacje, dokumenty, wspomnienia, fotografie zostały w dużym stopniu wykorzystane przez autora publikacji. Tak o tym

pisze on pod koniec książki: „Pan Józef przez trzy dziesięciolecia wykonywał ogromną pracę na rzecz zachowania pamięci o historii mieszkańców powiatu przemysłańskiego. (...) pozwoliły na wyciągnięcie z otchłani przeszłości sporego kawałka zaginionego świata.”

Dotychczas z zasobów naszego piśmka korzystało kilku autorów rodzinnych sag, „Ostatni dzień Hanaczowa” jest pierwszą książką, może nie ostatnią. (J.W.)

+ + + + +

Pierwsi powojenni osiedleńcy Gminy Ziębice

Redakcja została obdarzona niezwykle książką, wyjątkową publikacją, z zapisem wspomnień 73 osób, pierwszych osadników w miejscowości należących do gminy Ziębice. Przyjechali z różnych stron Polski, z zagranicy, a najwięcej z Kresów Wschodnich II RP.

Doświadczenie autorki - Janiny Lacel - w kontaktach z ludźmi sprawiło, że wielu osadników skłonnych było do nieskrępowanych wypowiedzi o latach ich dzieciństwa i młodości. Były one mocno dotknięte doświadczeniem tamtej epoki i lat późniejszych: wywózką na Sybir, ciężką pracą w przemyśle hitlerowskim czy ukrywaniem się przed ukraińską rzezią. Nic zatem dziwnego, że niekiedy w tych wypowiedziach dominuje radość ze znalezienia bezpiecznej przystani życiowej po przeżytych okropnościach.

Opis każdej wsi, a jest ich 28, został zaopatrzony w szczegółowe informacje historyczne i jest ilustrowany fotografiami najważniejszych obiektów - kościoła, świetlicy, domów historycznych lub ruin. Również relacje osadników okraszone są zdjęciami osób i dokumentów. W każdej wiosce autorka przeprowadziła średnio po dwie rozmowy, ale w kilku przypadkach było ich nawet pięć. Dodajmy, jednym z rozmówców był Tadeusz Prochera, z Lubnowa, pochodzący z Żeniowa, pow. Przemys-



ślany. W końcowej części znalazły się nawet przepisy kulinarne i weselne przyspiewki. Książka posiada 372 strony drukowane na papierze kredowym.

To bardzo wartościowa książka pod względem etnograficznym jak i historycznym. Ogromna baza informacji, która może być wykorzystana przez uczonych zajmujących się historią ludzi i regionu. Zapisane dzieje niektórych rodzin, niepowtarzalne, będą również służyły ich potomkom. Kilkuletnia praca autorki zaowocowała wyjątkową pozycją.

Bardzo dziękujemy Autorce za możliwość zapoznania się z Jej dziełem.

Red. Na stronie www.polska-zbrojna.pl ukazał się wywiad (11.07.2022 roku) przeprowadzony przez Annę Dąbrowską ze Zbigniewem i Krzysztofem Kopocińskimi, lekarzami, których rodowód związany jest z naszymi Kresami.

79. rocznica rzezi wołyńskiej

Anna Dąbrowska: Są Panowie zaangażowani od lat w upamiętnianie zbrodni wołyńskiej. Dlaczego?

Zbigniew Kopociński i Krzysztof Kopociński: Zbrodnia wołyńska, dokonana przez ukraińskich nacjonalistów akcja ludobójstwa dziesiątek tysięcy Polaków, której apogeum przypadło na 11 lipca 1943 roku na Wołyniu, obejmowała obszar całych polskich Kresów Południowo-Wschodnich. Mordy na polskich mieszkańcach tych ziem miały miejsce w latach 1939–1947.

Postanowiliśmy zaangażować się w walkę o upamiętnienie tych ofiar co najmniej z dwóch powodów. Przede wszystkim dlatego, że dramat ludności kresowej – a według szacunków badaczy liczba zamordowanych sięga 150–200 tys. – był przez całe lata z powodów politycznych przemilczany. W czasach PRL-u nie można było mówić o polskich ziemiach anektowanych przez ZSRR, a zbrodnie dokonywane przez banderowców istniały w oficjalnej historiografii jedynie na terenie Bieszczad, Rzeszowszczyzny, ziemi przemyskiej czy Zamojszczyzny, co było jedynie wycinkiem tej strasznej tragedii. Jesteśmy przekonani, iż szacunek i pamięć należą się wszystkim ofiarom, które zginęły tylko dlatego, że były

Polakami, toteż staramy się nadrobić stracony czas, aby świadomość tej hekatombi była w naszym społeczeństwie powszechna.

Drugą przyczyną jest to, że nasza rodzina od ponad 300 lat zamieszkiwała Kresy Wschodnie i dopiero II wojna światowa spowodowała exodus na Ziemię Odzyskaną. My jesteśmy pierwszym pokoleniem, które urodziło się poza Kresami, jednak duchowo czujemy się Kresowiakami.

Czy historia Państwa rodziny jest naznaczona tą tragedią?

Kilkanaście osób z naszej rodziny zostało w latach 1943–1944 zamordowanych przez bandy Ukraińskiej Powstańczej Armii, w tym kilkoro dzieci w wieku od dwóch do czterech lat spalono żywcem. Od dzieciństwa słyszeliśmy opowieści starszych krewnych, świadków zbrodni, którzy wspominali ten okropny czas. W późniejszych latach podjęliśmy badania genealogiczne, zajęliśmy się także dokumentowaniem zbrodni dokonanych przez banderowców. Dzięki temu wykonaliśmy szczegółowy opis okoliczności wszystkich morderstw, miejsca i czasu ich dokonania na naszej rodzinie. Udało nam się także w części przypadków określić nazwiska zbrodniarzy. Smutne i przerażające jest to, że w napadach brali udział nasi ukraińscy sąsiedzi, którzy przez wiele lat żyli w pełnej harmonii z naszą rodziną, dochodziło do mieszanych małżeństw, lecz Stepan Bandera, przywódca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), zaczął budzić demony nienawiści. Dokumentując dramat rodziny, stworzyliśmy trwały pomnik tych krewnych, których nigdy nie było nam dane poznać, gdyż zostali brutalnie zgładzeni za to, że byli Polakami.

Jednocześnie upamiętniacie Panowie „sprawiedliwych Ukraińców”, którzy nieśli pomoc Polakom...

Chcieliśmy pokazać, że przecież nie wszyscy Ukraińcy mordowali swoich polskich sąsiadów, byli także ludzie, którzy ryzykując własne życie, ratowali Polaków przed banderowcami. Stąd wpadliśmy na pomysł, aby w Żarach, w centrum miasta, w 2015 roku umieścić tablicę pamięci poświęconą „sprawiedliwym Ukraińcom”, którą zaprojektowaliśmy w dwóch wersjach językowych: polskiej i ukraińskiej oraz uroczystie odsłoniлиśmy.

Co kierowało Ukraińcami, którzy pomagali Polakom? Jak wiele było takich historii?

Ukraińcy, którzy pomagali mordowanym Polakom, kierowali się empatią i poczuciem przyzwoitości. Byli to z reguły sąsiedzi, którzy z Polakami żyli w zgodzie i harmonii od wielu lat, toteż nie mieściło im się w głowie, że nagle na rozkaz upowskiego watażki mają wziąć siekiere i iść mordować. Warto podkreślić, że znakomita część „sprawiedliwych Ukraińców” to ludzie starsi, wychowani w sposób tradycyjny i po ludzku przyzwoici. Duża zaś część młodszego pokolenia Ukraińców dała się wówczas opętać demonowi zła, czyli ideologii ukraińskiego integralnego nacjonalizmu.



Przy grobie pułk.
dra Kazimierza
Malanowicza.
Restauratorzy
miejsca pochówku
oficera, od lewej:
Zbigniew
Kopociński,
prof. Janusz Smaza
oraz Krzysztof
Kopociński.
Źródło: www.polska-zbrojna.pl.

Na tym tle dochodziło także do konfliktów rodzinnych, szczególnie w rodzinach mieszanych, gdy Ukraińcy dostawali np. rozkaz zamordowania własnej żony czy matki, która była Polką. Trudno oszacować całkowitą liczbę „sprawiedliwych Ukraińców”, gdyż przez lata temat zbrodni pokryty był pajęczyną zapomnienia, odeszli świadkowie, a duża część z nich nie pozostawiła żadnych relacji. Warto wspomnieć, że wielką pracę wykonał na tym polu śp. Szczepan Siekierka i założone przez niego Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, którego jesteśmy członkami.

Czy z historii ocalałych Polaków i pomagających im Ukraińców zapamiętali Panowie jakąś szczególną opowieść?

Dla nas najważniejsza jest nasza osobista historia. Nasza rodzina przetrwała tylko dlatego, że jeden ze „sprawiedliwych Ukraińców” o-

strzegł naszą babcię, aby zabrała swoje malutkie dziecko i natychmiast uciekała, gdyż banderowcy za chwilę przyjdą ją zamordować. Był to starszy człowiek, który znał naszą babcię od dziecka. Nie mieściło mu się w głowie, że za chwilę kilku ukraińskich młodzieńców pozbawi ją życia (dziadek był już wtedy daleko za Uralem, co paradoksalnie ułatwiło mu przeżycie). Informacje o planowanym napadzie Ukraińiec podsłuchiwał w rozmowie swoich synów, którzy byli członkami sotni UPA. Ten przykład pokazuje kontrast między przyzwoitymi a nieprzyzwoitymi Ukraińcami, my oddajemy hołd tym pierwszym, a potępiamy tych drugich.

Oddają Panowie hołd pomordowanym, a jednocześnie często mówią o wybaczeniu sprawcom zbrodni. Dlaczego? Z czego to wynika?

Bez wybaczenia krzywd człowiekowi trudno jest żyć, to jak niezabliźniona rana. My, rodziny ofiar i środowiska kresowe, często powtarzamy maksymę: „Nie o zemstę, lecz o prawdę, pamięć i groby wołają ofiary”.

Co w pielęgnowaniu pamięci o ofiarach rzezi i mówieniu o niej jest dzisiaj najważniejsze? Na co trzeba zwracać uwagę?

Ludobójstwo to zbrodnia, która może się zdarzyć wszędzie, jeśli umożliwi się i będzie się tolerować rozwój skrajnie szowinistycznych ideologii. Należy pamiętać, że dziesiątki tysięcy zamordowanych Polaków i nie tylko Polaków, bo banderowcy mordowali także Czechów, Cyganów, Ormian, Rosjan, Słowaków, Węgrów i Żydów, a także „sprawiedliwych Ukraińców”, to byli zwykli ludzie. Zginęli tylko dlatego, że pozwolono rozwijać się ruchom skrajnie nacjonalistycznym. Dlatego należy ostro protestować przeciwko jakimkolwiek objawom szowinistycznych ideologii, aby w przyszłości nie powtórzył się taki sam scenariusz.

Pokłosie naszych publikacji

W „Spotkaniach Świrzan” nr 154, str. 47 przedstawiłem fragment listy zmarłych w Teheranie z nazwiskiem Józefy Zimmermann, rzekomej żony dra Franciszka Zimmermanna, lekarza powiatowego z Przemyślan. W międzyczasie nawiązałem korespondencję z p. Danutą Zimmermann, mieszkającą w Anglii, żoną (obecnie 92-letnią wdową) najstarszego syna lekarza, Wojciecha, która podała prawdziwe dane o przodkach tej rodziny.

Z tekstów urzędowych wiadomo, że dr Franciszek Zimmermann został mianowany przez wojewodę lekarzem powiatowym w Przemyślanach z dniem 1.12.1921 r. Urodził się 6.07.1889 r. i z chwilą objęcia posady miał ponad 30 lat. Nie jest znane miejsce wcześniejszej pracy.

Został aresztowany i deportowany do ZSRR po 9.02.1940 r. Nie wiadomo, w jakiej miejscowości przebywał i czym się zajmował. Można przypuszczać że pracował w swoim zawodzie. Do Polski wrócił 27.04.1946 r. i otrzymał pracę w szpitalu (prawdopodobnie psychiatrycznym) w Gostyninie. Przez jakiś czas pracował w Ciechocinku, choć nie ma pewności, że tam mieszkał. Później jego losy związały się na parę lat z Grudziądzem, gdzie mieszkał i wykonywał swój zawód. Zmarł 11.04.1957 r. i został pochowany na miejscowym cmentarzu ewangelicko-augsburskim.



Nagrobek dra Franciszka Zimmermanna
na cmentarzu w Grudziądzu.

Jego żona Józefa, ur. 8.09.1892 r., córka Alfreda Bauera i Rozalii (z domu Kleber), wraz z matką, córką Marią (ur. 1924 r.) i synem Jackiem (ur. 1929 r.) pozostawała w swoim domu w Przemyślanach do 14.04.1940 roku, do chwili deportacji do Kazachstanu. W roku 1942, wraz armią gen. Wł. Andersa, opuściła „sowiecki raj” i jako podopieczna polskiego personelu

wojskowego, przez Teheran i Bejrut, dotarła w 1948 r. do Anglii. Józefa zmarła 6.12.1973 r. w szpitalu londyńskim.

Syn Franciszka, Wojciech Henryk (ur. 1920 r.), żołnierz polski, został pojmany w 1939 r. przez wojska niemieckie, dostał się do niewoli i przebywał w obozie jenieckim. Udało mu się uciec i po wielu przygodach dotarł pieszo do Syrii, gdzie dołączył do obecnej tam armii francuskiej. Później przedostał się do Wielkiej Brytanii.

Najmłodszy syn Franciszka, Jan (ur. 1922 r.), został śmiertelnie postrzelony 10.02.1940 r. w Wypyskach przez policjantów ukraińskich i zmarł w drodze do domu. (Por. Józef Wyspiański, *Zbrodnie OUN-UPA*. Wyd. własne. Lubin 2012, str. 17)

Repatriacja ludności niemieckiej, zamieszkałej na byłych wschodnich obszarach II RP, trwała od 18.12.1939 r. do 26.01.1940 r. Z Galicji wyjechało 55 597 osób. (P. Eberhardt, *Przemieszczenia ludności na terytorium Polski spowodowane II wojną światową*. Warszawa 2000, str. 27; <http://rcin.org.pl>)

Wielu potomków osadników niemieckich, mieszkających w Przemyslanach, Kimirzu, Dobrzanicy i Świrzu, nie zostało wywiezionych. Fr. Zimmermann, czując się Polakiem, również nie wyjechał na tereny zajęte przez wojska niemieckie. Czy Sowietci nie ufali mu i widzieli jako osobę niebezpieczną dla państwa, dlatego wkrótce aresztowali - nie wiadomo.

Moim zdaniem do wywiezienia doktora na Sybir mógł przyczynić się inny powód. Otóż policjant ukraiński, który śmiertelnie postrzelił Jana Zimmermanna, gdy dowiedział się czym był synem, przestraszył się. Obawiał się, że lekarz ustali jego nazwisko i mogą go spotkać przykre następstwa, zważywszy na mir i szacunek, jakim cieszył się doktor w społeczeństwie przemysłańskim. Doktor i jego rodzina nie byli na liście deportowanych 10 lutego. Dlatego przy pomocy policji ukraińskiej i miejscowych nacjonalistów przeprowadzono akcję donosów na osobę Franciszka Zimmermanna, wskazując go jako osobę niebezpieczną dla sowieckiego państwa. Takie działanie, zainicjowane po 10.02.1940 r., mogło doprowadzić do aresztowania lekarza przez NKWD.

Powracając zatem do pierwszego zdania trzeba powiedzieć, że osoba znajdująca się w wykazie zmarłych w Teheranie, mimo takiego samego imienia i roku urodzenia jak rzeczywista żona Franciszka Zimmermanna, nie jest jego żoną. Przedziwny zbieg okoliczności danych obu kobiet. Przepraszam Czytelników.

Józef Wyspiański

Dzisiaj przy porannej kawie rozmawialiśmy z żoną o zbliżającej się rocznicy odejścia babci Gertrudy Zawadzkiej i dziadka Władysława Zawadzkiego. Zastanawialiśmy się też, dlaczego nie ma „Spotkań Świ-

rgan”, czy nie daj Boże autorowi coś się nie stało? Otwieram dzisiaj swoją skrzynkę pocztową. I oczom nie wierzę. Jest email od Pana Józefa. Załącznikiem jest kolejny, oczekiwany numer Pańskiego pisma. To nic, że opóźniony. Jest! Otwieram zeszyt i nie wierzę własnym oczom: jest dalszy ciąg wspomnień dziadka Zawadzkiego. Są „Jakieś Wyższe Siły”!

Lekturę zeszytu zaczynam oczywiście od „Wspomnień”. Czytam i nagle zobaczyłem i usłyszałem. Widzę siedzącego w gabinecie, za biurkiem, naprzeciwko mnie, eleganckiego, starszego Pana. Czytam i słyszę każde wypowiedziane słowo, każde wypowiedziane zdanie. Słowa tworzące zdanie są przemyślane, wypowiedziane z ogromną odpowiedzialnością. Od momentu gdy włączałem dyktafon teraźniejszość stawiała się przeszłością. Spędziłem z dziadkiem Zawadzkim sporo czasu, patrząc na niego i słuchając jego głosu. Spotkanie trwało przeciętnie dwie do trzech godzin. Jego opowieści przenosiły mnie w tamte czasy. Dziadek też często ponownie przeżywał tamte wydarzenia. Ponad dwa lata trwał proces pisania „Wspomnień”. Tu muszę powiedzieć, że nie wszystko, co zostało powiedziane, jest w książce. Pewne rzeczy tylko ja usłyszałem i po długich dyskusjach nie zostały opublikowane z różnych względów. Jestem strażnikiem tych tajemnic. Zostały mi powierzone i nimi pozostaną.

Są „Jakieś Wyższe Siły”! Zbliża się kolejna rocznica odejścia (15 lutego 2019 roku) tego wspaniałego człowieka.

Czytanie „Wspomnień” Władysława Zawadzkiego w pańskim piśmie przywołało w mojej pamięci obraz żony Władysława, Gertrudy, której niestety nie ma już wśród nas. Dwudziestego czwartego stycznia minie rok jak odeszła po długiej chorobie. Czytając widzę i słyszę babcię Gertę. Elegancka jak zawsze, zagląda do gabinetu i pyta:

- Czy Panowie może sobie czegoś życzą?
- Ja poproszę kawę! – Mówię.
- A ja herbatkę!
- Nic mocniejszego?
- Nie, nie! Jeszcze nie ma trzynastej! – Odpowiadamy chórem.

Po kilku minutach przynosi tacę z kawą i herbatą. Do tego obowiązkowo domowe ciasto. Babcia często mówiła, że nie przeczyta książki, bo Włodek głupoty opowiada. Ale to Ona wiedziała, gdzie jest jakiś dokument, czy jakieś zdjęcie. Myślę, że po wydaniu zajrzała do niej. Któregoś dnia powiedziała mi, że nie wszystko było tak jak Włodek to wspomina, zwłaszcza we fragmentach dotyczących ich związku. - Ale

Opublikowany w pańskim piśmie fragment książki dziadka Władysława w przededniu zbliżających się rocznic obudził we mnie wspomnienia o dobrych ludziach, których już nie ma. Są „Jakieś Wyższe Siły”!

Janusz Rozwadowski



Irena Komorowska, Kornwalia, widok uliczki,
1960-1963. Papier, akwarela. Zdjęcie pobrano
z katalogu pt. *Zamek w Świrzu*, nadesłanego
przez p. Piotra Pinińskiego.

Listy do redakcji

Szanowni Państwo,
dziękujemy za systematyczne przysyłanie
nam wydawanych w 2022 roku egzemplarzy

czasopisma „Spotkania Świerzan”. Otrzymane numery (1-6) z przyjemnością włączamy do zbiorów Ossolineum. Będziemy wdzięczni za pamięć o nas przy dystrybucji zeszytów kolejnych.

Z poważaniem

Elżbieta Hajduk
Zakład Narodowy
im. Ossolińskich

<><><><><><><><><><><>

Dzień dobry panie Józefie,

Dzisiaj (19.12.2021) po północy, zmarła w szpitalu pani Zosia Grabowska z domu Gonet. Informację o jej śmierci przekazała mi pani Beata, która w Skrzydłnej pomagała pani Zosi w jej codziennym życiu. Pani Zosia zachorowała na zapalenie płuc i w poniedziałek, w tygodniu przedświątecznym, pogotowie zabrało ją do szpitala. Od tego czasu ja również straciłem kontakt z Panią Zosia.

Pani Zosia często o Panu bardzo mile wspominała. Była gorącą czytelniczką Pana biuletynu „Spotkania Świrzan”. Zawsze z niecierpliwością oczekiwała wydania papierowego, które to Pan Jej wysyłał, a o nowym numerze biuletynu, dowiadywała się często ode mnie, bo informowałem ją o no-

